MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XVII. Nr. 30 WARSZAWA, 25 LIPCA 1937 R CENA NUMERU 80 GR.

PROBLEMY SZKOLNE

OGŁOSZONE w miesięczniku „Oświata i Wychowanie" referaty dyrektorów departamentów Ministerstwa Wyznań i Oświecenia Publicznego o stanie szkolnictwa i przeprowadzanych obecnie reform dają nam obraz olbrzymich trudności, a z tym i niebezpieczeństw, z jakimi walczy administracja szkolna, usiłując równocześnie uzupełnić braki w systemie szkolnym i dostosować szkolnictwo do potrzeb nowoczesnego państwa.

P. Jan Firewicz, dyrektor Departamentu Szkolnictwa Zawodowego, pisze:

„Przed rozpoczęciem roku szkolnego 1936/37 Ministerstwo ogłosiło programy niższych szkół: mechanicznych, stolarskich, krawiecko-bieliźniarskich oraz jednorocznych szkół przysposobienia: rolniczego, w gospodarstwie rodzinnym, kupieckiego, krawiecko-bieliźniarskiego. W tym czasie Ministerstwo opracowało programy: czterech szkół stopnia gimnazjalnego, związanych z tkactwem, liceum rolniczego oraz tych jednorocznych szkół przysposobienia II-go stopnia (dla absolwentów 6 klas gimnazjum), a mianowicie: kupieckiego, administracyjno-handlowego i gospodarstwa rodzinnego. Ogółem Ministerstwo opracowało i ogłosiło programy dla 20-tu szkół zawodowych różnych specjalności i stopni. W opracowaniu jest 16 programów dla szkół stopnia licealnego. Należy przypuszczać, że na wiosnę Ministerstwo będzie mogło ogłosić conajmniej 11 programów: Po za tym Ministerstwo pracuje nad programami i organizacją szkół dokształcających. Równolegle z programami Ministerstwo opracowuje i ogłasza statuty szkół".

Naszkicowany powyżej opis prac jednego tylko departamentu daje nam pojęcie o ogromie odpowiedzialności, jaką na siebie wzięli ci, którzy reformom szkolnym w Polsce nadali wprost wariackie tempo.

Departament szkolnictwa zawodowego Ministerstwa W. R. i O. P. nie tylko opracowuje programy i statuty szkół pod względem teoretycznym. Departament sam bierze udział w przekształcaniu 727 szkół zawodowych normalnych i 608 szkół zawodowych dokształcających.

Szkoła musi mieć statut i program. Od przygotowania ich trzeba zacząć. To jest bezsporne. Ale szkoła musi mieć również pedagogów, mogących ten program wykonać. Dla młodzieży zaś konieczne są podręczniki szkolne, dostarczane do programu.

Rzecz niepomiernie charakterystyczna: referaty ministra Świętosławskiego i jego najbliższych i najbardziej odpowiedzialnych współpracowników mówią dużo o programach szkół, a prawie nic o pracach dla przygotowania kadr profesorskich i podręczników szkolnych. Przyczyna tej małomówności jest jasna i prosta. Najpierw muszą być programy. Tak jest, najpierw muszą być programy i ogólne ramy. Cała trudność polega w tym— jak nazwałem—wariackim tempie. Na drugi dzień po ogłoszeniu programu powstaje szkoła. Gdyby od ogłoszenia programu do jego zrealizowania upłynęło lat parę, byłby czas na ułożenie i wydrukowanie podręczników, byłby czas na skompletowanie kwalifikowanego grona nauczycielskiego. Tego czasu—tego tchu—właśnie brakło i dlatego jest źle.

Nie mam kwalifikacji do krytykowania programów szkół zawodowych. Gotów jestem przyznać im z zamkniętymi oczyma bardzo wysoki stopień! Ale—i odwrotnie, — autorzy programów muszą przyznać, iż materiału do wykończenia tych nowych fabryk pedagogicznych im brak. Opowiadano mi z tej dziedziny także np. plotki (a może i nie plotki).

Do szkół średnich kupieckich potrzebuje Ministerstwo 40 nowych sił nauczycielskich dla przedmiotów handlowych.

Po pedagogów tych zwróciło się ono do Wyższej Szkoły w Warszawie. Zgłosił się—jeden. A prócz Ministerstwa i jego szkół potrzebują kwalifikowanych nauczycieli także i — szkoły prywatne. Skąd ich wezmą? Na to potrzeba kilka lat czasu. W paru tygodniach nikt kwalifikacji nie zdobędzie.

A tymczasem? Tymczasem zaś robi się tak:

w pewnym gimnazjum zawodowym jest 20 godzin towaroznawstwa i matematyki, więc pada pod adresem matematyka (a tych jest dużo), propozycja, aby przez wakacje zapoznał się z towaroznawstwem i od września uczył i matematyki i towaroznawstwa. Dwu sił zakład nie zaangażuje — płaci za godzinę nauki 2 zł. — a pozatym towaroznawcy, teoretycznie również przygotowanego, nie ma.

Obydwa przykłady cytowali mi ludzie, bardzo bliscy Ministerstwa Oświaty. Mimo to podają je jako plotki, bo nie idzie mi o wyjaskrawienie jakiegokolwiek szczegółu. Zagadnienie jest poważne. Przy najlepszych nawet programach szkolnych szkoła zasłuży na nazwę tandety, jeśli nie znajdzie kwalifikowanych sił nauczycielskich i jeśli nie da dobrze przepracowanych podręczników szkolnych, pracowni, bibliotek, słowem całego aparatu szkolnego. Przygotowanie zaś tego aparatu wymaga czasu i pieniędzy.

Nie przemawiają do przekonania słowa min. Świętosławskiego, iż trzeba natychmiast nowe szkoły zakładać, bo „znaczna część kandydatów nie może znaleźć miejsca". W r. 1936/37 do szkół technicznych przyjęto — wedle urzędowych danych — zaledwie 53% zgłaszających się, do szkół rzemieślniczych męskich 58%, do żeńskich przemysłowych 74%, do handlowych 53% kandydatów. Szkoła musi być dobra. Lepiej w r. 1937/38 założyć zamiast 57 szkół zawodowych typu licealnego—połowę, ale w tych 30 szkołach dać wszystko, czego szkoła potrzebuje.

Wysunąłem na front trudności szkolnictwa zawodowego dlatego, że o nim mało się publicznie dyskutuje (są to sprawy dla ogółu zbyt specjalne), a na tym właśnie odcinku, tak dla naszej sprawności gospodarczej ważnym, grożą nam duże powikłania i poważny zalew tandety i wśród gron nauczycielskich i w konsekwencji później wśród absolwentów tych szkół. Słyszałem zdanie, iż w średnim szkolnictwie zawodowym skandal — tego użyto słowa—może być większy, niż w liceach ogólno-kształcących.

Społeczeństwo więcej interesuje się szkolnictwem średnim ogólno-kształcącym choćby dlatego, że wchłania ono trzy razy więcej młodzieży, niż szkoły zawodowe. Jak rozpaczliwym jest aktualny stan liceów ogólno kształcących, o tym coś nie coś wiemy już wszyscy.

Od 1 września 1937 r. otwiera rząd 380 liceów, podzielonych na 4 grupy: klasyczną, humanistyczną, przyrodniczą i fizyczno-matematyczną. Prócz liceów państwowych powstanie paręset liceów prywatnych. W lipcu 1937 wiemy, ile w I klasie licealnej będzie godzin danego przedmiotu. Ale nie wiemy, czego nauczyciel z zakresu tego przedmiotu będzie uczył. Dla przykładu tylko jest „historii" 2 godziny na tydzień. Historia—to bardzo obszerny dział nauki. Można uczyć historii starożytnej lub nowożytnej, ogólnej lub polskiej, politycznej lub społecznej. To wszystko jeszcze jest w chmurach. Programy, ogłoszone na wiosnę jako projekty programów, spotkały się z ostrą krytyką i zostały wycofane dla przeróbek. Obecnie są właśnie w takim „generalnym remoncie" według stylu urzędowego. Sytuacja na odcinku liceów ogólno-kształcących jest o tyle lepsza, niż na odcinku szkół zawodowych, że tutaj są stare grona nauczycielskie, wycofane z okaleczałych 8-klasowych gimnazjów i że grona te dość szybko oswoją się z nowymi programami. Ale i tu młodzież rok cały pracować będzie bez podręczników naukowych, a wiele zakładów obejść się musi bez laboratoriów, pracowni, bibliotek itp.

Cóż będzie w liceach pedagogicznych, a więc w szkołach zupełnie nowych? To wszystko polegać będzie na improwizacji! Nie ma programów, nauczycieli, podręczników. Na szczęście (?!) niema i—uczniów. Komunikowane z wszystkich stron kraju wiadomości stwierdzają, że młodzież wręcz zbojkotowała ten nowy typ szkoły. Przybył Ministerstwu nowy kłopot: musi podjąć bardzo kosztowne zabiegi, aby przełamać opór — i szkoły te, mimo oporu społeczeństwa, wypełnić młodzieżą. Każdy rok bojkotu liceum pedagogicznego powiększy deficyt kandydatów na nauczycieli, który pojawi się już w r. 1939! A brak nauczycieli — to klęska.

Oto trudności organizacyjne naszego szkolnictwa typu średniego. Administracja szkolna nie podołała im—powiedzmy otwarcie: nie mogła im podołać. Na kolanie robiona była ustawa jędrzejewiczowska. Z niej to i z mało przemyślanych założeń obecnie wynikają wszystkie klęski i niedole. Wśród błędów reformy na front wysuwa się owo wariackie tempo.

Niestety, min. Świętosławski zawiódł nadzieje wielu nietylko na odcinku uniwersyteckim. Nie odważył się nietylko na rewizję ustroju jędrzejowiczowskiego, ale nawet nie — odłożył niektórych reform, w ich interesie, na termin późniejszy. Bo można było odłożyć utworzenie liceów na okres paru lat, a tymczasem utrzymać dwie najwyższe klasy starego gimnazjum. Bo można było utrzymać przynajmniej prywatne seminaria nauczycielskie do czasu, gdy licea pedagogiczne wypuszczą pierwszych swoich elewów. Bo można było zakładając nowe typy szkół zawodowych, pozwolić na istnienie typów starych, choćby—szkołom prywatnym. Dotrynerzy masońscy, a twórcy nowego ustroju szkolnictwa w Polsce, odcięli swoim następcom w rządach drogę odwrotu: wzorem rewolucjonistów i klasowców, zanim zaczęli budować sami, zniszczyli najpierw doszczętnie instytucje stare. Min. Świętosławski doszedł do władzy wtedy, kiedy burzymurki pracowali pełną parą. Niektore instytucje nie były już zdolne do życia, podcięto im już korzenie. Niektóre można było jeszcze uratować. Min. Świętosławski stanął na stanowisku, iż on niema swojej koncepcji ustrojowej, wykonuje rozpoczętą reformę, a — zasługi i odpowiedzialność spadają na autorów reformy, a nie na niego. Jestto bardzo znaczne zwężenie własnego kręgu pracy, ale takie stanowisko, dobre dla podrzędnego urzędnika, nie zwalnia od pełnej, a nie tylko formalnej, odpowiedzialności ministra Rzeczyposolitej, w tym wypadku min. Świętosławskiego.

Kłopoty, wyliczone powyżej przezemnie, nie wyczerpują oczywiście zainteresowań tak Ministerstwa, jak i społeczeństwa. Jest ich znacznie więcej. Wyliczone wyżej, zajmują mimo swej wielkiej wagi gatunkowej, odcinek mały wobec ogromu analfabetyzmu mas i wobec niedomagań w dziedzinie oświaty powszechnej.

STANISŁAW RYMAR

ŻYDZI W EGIPCIE

DATA emigracji żydowskiej do Egiptu nie jest definitywnie ustalona. Uczeni dzielą się na dwa obozy. Pierwszy obóz przypuszcza, że „zatwardziałym" Faraonem biblijnym był Amenhotep II (1447 — 1420), lub Amenhotep III (1420 — 1375), drugi zaś, że był nim następca Ramzesa II, Merneptah. Mamy więc (my, amatorzy naukowi) wolne ręce i możemy iść za głosem najbardziej trafiającym nam do przekonania. Ja poszedłem za głosem Kittla, a resztę wątpliwości, czy mój przewodnik zasługuje na zaufanie, rozwiały argumenty *pro* i *contra*, rozważane przez Ks. Alexis'a Mallon S. J. w „*Les Hébraux en Egypte*" (*Orientalia*, nr. 3, r. 1921, str. 177—182), z którymi świeżo zapoznałem się dzięki uprzejmości ks. prof. Archutowskiego.

I

Na razie jedynym źródłem historycznym, opiewającym prześladowanie żydów w Egipcie, ich ucieczkę z „domu niewoli" i okupacji ziemi Chanaan jest Stary Testament. Współczesny tym wypadkom Egipt niestety jeszcze nie przemówił. Jedyna pozabiblijna wzmianka o Izraelu pada z Egipskich ust dopiero po pacyfikacji Palestyny przez Merneptah'a. (*Kittel Geschichte des Volkes Israel*, tom 1. str. 525). Wzmiankę tę znalazł Petrie (w 1896 r.) w grobowcu wymienionego Faraona. Brzmi ona:

„W niewolę wzięte Askalon — zdobyte Gezer-Jenoam zniszczone — Izrael wytrzebiony, nasienie jego przestało isnieć".

Po za tym cisza, najzupełniejsza cisza, jakgdyby Izraela w Egipcie wogóle nie było. Jesteśmy więc zmuszeni uznać żydowską opowieść za bezwzględnie zobowiązującą, ma się rozumieć aż do ewentualnego odwołania i w granicach krytycznego prawdopodobieństwa.

Powszechnie znana jest historia Józefa, syna Jakubowego, jak to „był zawiedzion do Egiptu"; jak kupił go Potifar „trzebieniec Faraonów"; jak po wielu dniach żona Potifara „obróciła oczy swe na Józefa i rzekła: śpij ze mną"; Jak Józef, zostawiwszy w ręce jej płaszcz uciekł i dostał się do ciemnicy, gdzie więźniów królewskich strzeżono; jak tam wykładał sny podczaszemu i piekarzowi „Króla Egipskiego", którzy przewinili Panu swemu; jak tą drogą dostał się na dwór Faraona, a wreszcie jak Faraon w nagrodę za wykład snów, rzekł do niego: „Ty będziesz nad domem moim, a na rozkazaniu ust twoich wszystek lud posłuszny będzie: samą tylko stolicą królewską przodkować ci będę". (*Genesis* 29—41).

Od tej chwili Egipt a nawet i Faraon niejako biją pokłony przed Józefowym rozumem. Słyszymy bowiem, że Faraon rzekł jeszcze do Józefa: „bez twego rozkazania nie podniesie żaden ręki albo nogi we wszystkiej ziemi egipskiej". I słyszymy, że Faraon odmienił imię Józefa i nazwał go językiem egipskim „Zbawicielem świata". I słyszymy, że Faraon „uradowany", iż przybyli bracia Józefowi, rzekł do Józefa, aby rozkazał braci swej mówiąc: „jedźcie do ziemi Chananejskiej a weźcie stamtąd ojca waszego i rodzinę, a przyjedźcie do mnie, a ja wam dam wszystkie dobra egipskie, abyście używali tłustości ziemi... a nie zostawiajcie nic z sprzętu waszego, bo wszystkie bogactwa egipskie wasze będą". (*Gen*. 46, 16—20).

Rzecz jasna „uczynili synowie Jakubowi jako im kazano". I pojechawszy Izrael ze wszystkiem co miał, osiedlił się w ziemi Gessen, na najlepszem miejscu ziemi Ramesses. I Józef żywił wszystek dom ojca swego, który składał się z 70 dusz „oprócz żon synów" Jakubowych. „Mieszkał tedy Izral w Egipcie, to jest w ziemi Gessen i posiadł ją i rozkrzewił i rozmnożył się nazbyt". I żył w niej 17 lat, a gdy „złożył nogi swe na łóżko i umarł", żyli w niej synowie jego, również rozmnażając się nazbyt aż do chwili, w której „powstał król nowy nad Egiptem, który nie wiedział o Józefie, i rzekł do ludu swego: oto lud synów Izraelowych wielki i mocniejszy jest od nas. Pójdźcie, mądrze potłummy go, by się snadź nie mnożył, a jeśliby przypadła na nas wojna, by się nie przyłączył nieprzyjaciołom naszym a poraziwszy nas nie wyszedł z ziemi". (*Exodus* 1, 10).

W tym ostatnim tekście autor „Księgi Wyjścia" zdaje się łączyć w „nowym królu nad Egiptem, który nie wiedział o Józefie" aż dwóch Faraonów: Ramzesa II (1292—1225) i Merneptaha (1225—1215). Jeżeli bowiem: „ustawił tedy (Faraon) nad nimi (nad Hebrejczykami) przełożone robót, aby je trapili ciężarami: i jeżeli do tego tekstu dorzucimy fakt, że założycielem obu tych miast był Ramzes II, który przeniósł swoją „stolicę królewską" z Teb na północ do „Domu Ramzesowego", obok zaś założył w Wadi-Tumilat spichlerzowe miasto „Dom Atuma" Pitom (Kittel tamże I, 524), to będziemy mogli bez skrupułów zapisać na rachunek Ramzesa II wszystkie „trapienia" żydów „ciężarami" i „robotami ciężkiemi gliny i cegły i wszelaką służbą, którą byli obciążeni w robotach około ziemi" (*Ex*. 1, 11), tembardziej, że mieszkańcy ziemi Gessen byli najbardziej pod ręką. Inaczej przedstawia się kwestia mądrego tłumienia synów Izraelowych, „by się snadź nie mnożyli". Te słowa w ustach Ramzesa II brzmią nieco fantastycznie. Ramzes II nie tylko nie obawiał się obcokrajowców, a przede wszystkim semitów, ale przeciwnie, zaszczycał ich jak najdalej idącą sympatją. Kupcy feniccy i inni posiadali w Memfis własną dzielnicę i własne świątynie Baala i Astarty, semiccy bogowie gościli w Panteonie, najukochańsza córka królewska nazywała się córką Anaty, ulubionym bogiem Ramzesa był Sutech (Kittel) a oprócz tego Ramzes II był zbyt pobożnym władcą, ażeby drżeć przed Izraelem, w istocie rozmnożonym, ale do r. 1225 stanowczo nie „mocniejszym" od Egipcjan. Prześladowanie Ramzesowe miało więc swoje źródło w bujnej (jak u południowców) wyobraźni żydów. Egipska sielanka, która rozpoczęła się przypuszczalnie za Amenhotepa III (1411—1375) lub, co jeszcze możliwsze, (jak twierdzi Kittel) za Amenthotepa IV (1375—1358), skończyła się ze względu na stosunki z Azją. Na najlepszem miejscu ziemi Remesses osiedlił się Ramzes II, ażeby „wszystkie bogactwa egipskie" jego były. W tym celu, gwoli wzniesienia nowej stolicy, zmobilizował siły robocze bez wyjątku. Zmobilizował w ten sposób, że w zamian za pracę dawał pełne utrzymanie, jak o tem świadczy Księga liczb; Rozdz. 11, w. 5: „wspominamy na ryby, któreśmy

jadali w Egipcie darmo: przychodzą nam na pamięć ogórki, i melony, i łuczki, i cebule, i czosnek”. Utrzymanie to musiało być istotnie obfite. Zbyt często wspominają o niem żydzi, a oprócz tego zaważyło na szali nawet w stosunku do Mojżesza, kiedy to na jego patriotyczną propagandę odpowiadano mu w Egipcie mówiąc: „idź precz od nas, abyśmy służyli Egipcjanom, daleko bowiem lepiej było służyć im, niżeli pomrzeć na puszczy”. (*Ex*. 14, 12.).

Rozdęcie Ramzesowego prześladowania żydów należy tedy uważać za przesadę. Żydzi za Ramzesa II stracili tylko przywileje gości i zrównani zostali z innymi obywatelami kraju, Z pasterzy, ściślej z handlarzy bydłem zamienić się musieli w robotników, karconych w razie oporu, co ani z ich tradycją, ani z ich charakterem nie licowało. Rzecz inna, że i sielanka egipska była stanowczo przesadzona. Aczkolwiek Józef niewątpliwie zajmował wybitne stanowisko w hierarchii urzędniczej, trudno przypuszczać, żeby bez jego rozkazania nie podnosił żaden ręki albo nogi we wszystkiej ziemi Egipskiej. Ale z drugiej strony, właśnie ta przesada, ten majestat Józefa świadczy o historycznej prawdzie, o wyjątkowym zaszczycie, który istotnie musiał spaść na synów Izraelowych. Ci „pasterze owiec”, którymi „brzydzili się Egipcjanie” (*Gen*. 46, 34), mieli przecież egipskiego dostojnika w rodzie, mieli za sobą „świetną przeszłość”, wprawdzie „przeszłość jednodniówkę”, ale zato tem bardziej nadspodziewaną, nadzwyczajną, więc i żywą.

Znacznie bliższem prawdy wydaje mi się tłumienie Izraela, gdy „poniemałym czasie umarł król Egipski” Ramzes II a na tron wstąpił raczej nieudolny, w każdym razie przeciętny Merneptah. Od samego początku jego panowania rozpoczęły się ruchy wolnościowe, tak powszechne, że już około roku 1223 cała prowincja Azjatycka chwyciła za broń. W rozruchach brał oczywiście udział i palestyński Izrael i wraz z całą Palestyną, jak wiemy, został pokonany w r. 1220 (?) utrzymywał stały kontakt z Izraelem Chananejskim, nie ulega więc wątpliwości, że Chananejscy powstańcy musieli dokładać wszelkich starań, żeby wywołać rozruchy w ziemi Gessen. Sądząc po przytoczonym tekście „idź precz od nas, abyśmy służyli Egipcjanom” można wnioskować, że ich starania spaliły na panewce, chociaż znalazły gorącego wyznawcę w Mojżeszu. Izrael, osiadły w Egipcie, miał bądź co bądź za dużo do stracenia, ażeby ryzykować walkę, której zwycięstwo zapewnić mogły jedynie cuda w rodzaju Morza Czerwonego. Dlatego przypuszczam, że Mojżesz zyskał na popularności dopiero po pogromie Palestyny.

Sądząc po ludzku musiały zacząć się represje w ziemi Gessen, tembardziej że Chananejskie „nasienie Izraelowe” bynajmniej nie „przestało istnieć”, jak to panegirysta Merneptaha szumnie nam ogłosił, ale, wręcz przeciwnie, zachowało tak silną żywotność, że mogło się nawet kłócić z egipską bracią, która po długich, ciężkich cierpieniach weszła do Ziemi Obiecanej. W świetle tych represji słowa biblijnego „Króla”, który „nie znał Józefa“, nabierają wyrazu. Pokonana, lecz bynajmniej nie starta w proch Palestyna myślała o odwecie, tembardziej, że potęga Egiptu słabła z przerażającą szybkością. Groziły więc nowe rokosze i wojny, w których oczywiście brałby udział i Chananejski Izrael. Dla osłabionego Egiptu mógł tedy Izrael egipski przedstawiać poważne niebezpieczeństwo. Do uszu Merneptaha musiały dochodzić wieści, że już przed jego azjatycką wyprawą wstrząsały ziemią Gessen dreszcze powstańcze, które, podsycane przez człowieka tej miary, co Mojżesz, mogły się łatwo przemienić w gorączkę czynu i skłonić egipskich żydów do połączenia się w razie wojny z „nieprzyjacielem”, to znaczy z Chananejskimi żydami. I Merneptah — zwycięzki wprawdzie, ale czujący własną słabość — mógł istotnie rzec do ludu swego: „oto lud synów Izraelowych zaczyna być niebezpieczny, przeto mądrze potłummy go, aby poraziwszy nas nie wyszedł z ziemi”... z łupami. Tłumienie to mamy opisane w Księdze Wyjścia. Rozdzieliłbym je na dwa okresy: na tłumienie poczęte w wyobraźni żydów, czyli Ramzesowe i na tłumienie rzeczywiste, czyli Marneptahowe. Tłumienie Ramzesowe nazwałbym rozgoryczeniem z powodu utraty przywilejów „gości”, tłumienie Merneptahowe egipskim antysemityzmem. Ale i w tłumieniu Merneptahowem nie należy dopatrywać się zbytniego umiaru. Trzeba pamiętać o nerwowości Izraelitów i o skłonności do przesady. Niebezpieczeństwo żydowskie bez wątpienia istniało, ale może nie było tak groźne, jeżeli można je było zażegnać następującą metodą:

„I rzekł król Egipski Seti I(?) babom (akuszerkom) Hebrejczyków, z których jedną zwano Sefora a drugą Fua, przykazując im: Gdy będziecie babić Hebrejczykom, a przyjdzie czas rodzenia, jeśli się syn urodzi, zabijcie go a jeśli córka zachowajcie. Lecz baby bały się Boga i nie uczyniły według króla Egipskiego, ale zachowały chłopiątka. Których wezwawszy król do siebie rzekł: Cóż to jest, coście chciały uczynić, żeście chłopięta zachowały. Które odpowiedziały: nie sąć Hebrejanki jako Egipskie niewiasty, bo same umieją babić i pierwej rodzą niźli przyjdziem do nich. Uczynił tedy Bóg babom dobrze: i rozkrzewił się lud i zmocnił się zbytnio. (*Ex*. 1, 15—20).

Czyż możliwe, żeby od dobrej woli dwóch akuszerek zależało zarówno ocalenie Egiptu jak i zbytnie zmocnienie się Hebrejczyków? Prawda kryje się tak pośrodku. Ani nie było tak źle z Żydami przed babami, ani tak dobrze po babach.

Skłonność do przesady możemy również zauważyć w opowieści o plagach egipskich. Autor stanowczo nadużywa słowa „wszystko”. Jeżeli bowiem: 1) w ostatki egipskich potraw weszły żaby, 2) wszystek proch ziemi pozamieniał się w mszyce, 3) wszystka ziemia popsowała się od much, 4) wszystko bydło pozdychało, 5) wszystko, co było na polu od człowieka aż do bydła, i wszelkie ziele polne, oprócz pszenicy i żyta, wybił grad, wszystkie zaś drzewa połamał, 6) pszenicę, żyto, i wszystką trawę ziemi, i cokolwiek owocu było zostało po gradzie zjadła szarańcza, tak, że zostało „prawie nic” zielonego na drzewie i na zielu ziemnem we wszystkim Egipcie — jeżeli to „wszystko” spadało wyłącznie na Egipcjan a oszczędzało synów Izraelskich, to narzucają się dwa pytania: 1) w jaki sposób Egipcjanie to „wszystko” przetrzymali, 2) jakim cudem nie roznieśli w puch żydów?

Na pierwsze pytanie nie otrzymujemy żadnej odpowiedzi. Na drugie możemy sobie dać odpowiedź: ponieważ byli aniołami. Do tej odpowiedzi upoważnia nas rozdział 11 i rozdział 12. — Czy-

tamy bowiem, iż po dziewiątej pladze „straszliwych ciemności" mówi Pan do Mojżesza: „Jeszcze jedną plagą dotknę Faraona i Egipt, a potem puści was i przymusi wynijść. A przeto powiesz wszystkiemu ludowi, żeby żądał mąż od przyjaciela swego a niewiasta od sąsiady swojej naczynia srebrnego i złotego. I uczynili synowie Izraelscy jako był przykazał Mojżesz: i prosili u Egipcjanów naczynia srebrnego i złotego, i szat bardzo wiele. A Pan dał łaskę ludowi przed Egipcjanami, że im pożyczali: i złupili Egipcjany". (12, 35—36). Po dziesiątej pladze, po zabiciu „wszelkiego pierworodnego w ziemi Egipskiej od człowieka aż do bydlęcia". (12, 12 i 29).

Przypuszczam, że w takich warunkach pożyczać takim „przyjaciołom" i „sąsiadkom" zwyczajny człowiek nie potrafi.

Ale, odłożywszy wyjaśnienie tego zagadnienia na później, przejdźmy do pytania trzeciego: dlaczego Faraon nie chciał wypuścić żydów z Egiptu?

(D. c. n.) KAROL HUBERT ROSTWOROWSKI

POCZĄTKI „PRZEGLĄDU NARODOWEGO"

W ŚWIETLE LISTÓW ZYGMUNTA BALICKIEGO (1908 — 1909)

II

KIEDY wreszcie udało się przekonać Zakrzewskiego, że wydawanie dwu miesięczników dla stronnictwa jest niemożliwe i że potrzebny nam jest właściwie jeden charakteru politycznego, ułożyliśmy plan likwidacji „Ateneum" z tym, że prenumeratorom jego dawać będziemy wzamian „Przegląd Narodowy". Balicki, dowiedziawszy się o tym, pisał:

Warszawa, Smolna 30.XI.1908

II Mój Drogi,

Myśl twoja byłaby nam bardzo na rękę z dwóch względów: ugruntowałaby niezależność „Przegl. Nar." i pozwoliłaby mu stać się organem rzeczywiście trójzaborowym. Stoimy dobrze i pismo się wyrabia, aczkolwiek jeszcze przy subsydyum, zapewnionem zresztą zupełnie. W roku ubiegłym zaoszczędziliśmy już kilkaset rubli w stosunku do preliminarza budżetowego. Gdyby nam przybyło od Was 300 tylko prenumeratorów (na więcej trudno liczyć) [1]) obeszlibyśmy się już bez subsydyum lub moglibyśmy nawet pismo rozszerzyć.

Co do zreformowania „Przeglądu", to trudno byłoby nadać mu charakter pisma głównie naukowo-literackiego, typ bowiem obecny najlepiej odpowiada potrzebom, należałoby tylko traktować bardziej równomiernie sprawy trzech zaborów, zwłaszcza w artykułach wstępnych — teoretyczno-politycznych, dział zaś naukowo-literacki nieco rozszerzyć i uczynić bardziej pełnym.

Mało mam nadziei, żeby twój wniosek przeszedł; jak wiesz z depeszy wczoraj wysłanej, czekamy na wyniki dzisiejszego waszego posiedzenia. Mnie trudnoby było wyruszyć obecnie do Lwowa (w razie pomyślnego obrotu), ale ważniejszą byłaby tu strona administracyjno-finansowa niż redakcyjna, którą możnaby listownie omówić, to też — według mego zdania — odpowiedniejszy byłby przyjazd Niklewicza. [2]) Mógłby on również porozumieć się co do sprawy redakcyjnej — szczegóły zaś ułożylibyśmy w styczniu ostatecznie.

Konieczną jest szybka decyzya, to też niecierpliwie oczekuję wiadomości. Ściskam Cię serdecznie

Z. BALICKI

Tychże kwestyj dotyczą trzy następne listy Balickiego.

Smolna 10, m. 10 d. 12.XII. 1908

III Mój drogi,

Tak więc doszliśmy do porozumienia, którego warunki oczywiście akceptuję, aczkolwiek nie bez pewnych ofiar. Punkty drobniejsze, umową nie objęte, zwłaszcza twoje uwagi, postaram się uwzględnić, o ile to okaże się możliwe, uważam je bowiem za trafne.

Przechodzę do rzeczy najważniejszej. Bardzo nieprzyjemnie mnie uderzyło, że Zakrzewski nie przysłał przez Niklewicza artykułów, pozostałych w tece „Aten. Polsk". Przecież Nr. styczniowy, jeżeli ma wyjść na 15-go, a nawet na 20-go (co jest jedynie prawdopodobnem), musi już być teraz przygotowany do druku i ułożony. Widocznie idzie mu o utrudnienie, a nie o ułatwienie. Takie dziecinne ambicye są zresztą właściwiścią charakteru wszelkich „grabarzy pism". Mój drogi, zrób z tem jakiś porządek: przecie dostarczanie artykułów ma się zacząć od Nr. 1, który musi być wyjątkowo dobry, jeżeli ma służyć za reklamę. Mam jeden artykuł treści zakordonowej o Polakach na Orawie Smulskiego, [3]) ale radbym mieć coś dobrego z artykułów ogólnych. Przecie „porozumiewanie się z autorami", gdy jedno pismo obejmuje spadek po drugiem, jest sztucznem formalizowaniem się, które się nigdzie nie praktykuje. Nadesłanie teki jest rzeczą niezmiernie naglącą, liczę na Ciebie, że to w najkrótszym czasie przeprowadzisz.

Wogóle punkt pomocy redakcyjnej w umowie wydaje mi się nieco pozostawionym na opiece boskiej i pozbawionym sankcyi. A co będzie, jeżeli wogóle żadne artykuły nie będa napływać ze Lwowa? Widzę nazwisko Stacha Kośmińskiego jako odpow. za Redakcyę, na Galicyę. Czyż on ma dość stosunków i autorytetu, żeby mógł wy-

[1]) Balicki się łudził z właściwym sobie optymizmem. Galicjanie z małymi wyjątkami nie interesowali się zupełnie wydawnictwami warszawskimi.

[2]) Niklewicz Mieczysław był wtedy dyrektorem administracyjnym „Głosu Warszawskiego" (przedtem „Gazety Polskiej").

[3]) W zesz. styczniowym „Prz. Nar." Grzegorz Smólski zamieścił artykuł „Polacy na Orawie w Węgrzech".

wierać nacisk na współpracowników? Byłby dobry do prowadzenia ze mną korespondencyi, o ile za nim stałby ktoś inny[4]), Ty np., ktoby mógł wyszukiwać autorów i podsuwać im tematy. Punkt ten musimy jaknajprędzej uregulować i ustalić.

Tymczasem parę uwag konkretnych. „Aten". musiało mieć w gronie współpracowników ludzi kompetentnych w zakresie spraw zab. pruskiego (macie takiego w Red. „Sł. Pols." — Czechowski?)[5]) jest to najsłabszy punkt „Przegl. Nar." Dalej czy nie dałoby się poruszyć J. G. Pawlikowskiego — odpisał mi przychylnie w swoim czasie, tylko chwilowo wymówił się chorobą. Co do Kryńskiego,[6]) będącego w zakresie waszych stosunków, to radbym bardzo mieć jego artykuły — ale nie zwrócone przeciwko pisowni Akademii, co razi wprost w „Sł. Pols.", że rubrykę błędów językowych zaczyna od rzekomych błędów jedynej instancyi, której wszyscy podlegać powinni.

Będę Cię niepokoił listami, dopóki strona realizacyjna nie zostanie uregulowana, gdyż z Tobą jednym mogę się porozumieć w tym względzie.

Przypominam artykuły wstępne teoretyczno-polityczne!

Ściskam Cię serdeczuie i dziękuję za dotychczasową interwencyę. Twój

Z. BALICKI

IV (Blankiet listu:) Gazeta Polska. Redakcja i Administracja. Warszawa, Warecka 14.

Warszawa, 21.XII.1908

Kochany Zygmuncie.

Sprawa filii redakcyjnej we Lwowie nie jest jasną. Konieczna jest osoba poważna, posiadająca kwalifikacye redaktorskie, któraby zamawiała i p o d s u w a ł a autorom artykuły. Osoby takiej ja znaleść nie mogę z odległości — widzę tylko Ciebie jednego, z którym bez obaw i zastrzeżeń mógłbym pracować. Pamiętaj, że miesięcznik wiąże się ściśle z dziennikiem, skoro go uzupełnia, ja jestem takim łącznikiem wobec „Gł. War.", Ty byłbyś wobec „Słowa Pols." Roboty na ilość nie miałbyś wiele, gdyż stosunki i tak utrzymujesz, konieczny byłby tylko pomocnik, coś w rodzaju sekretarza, któryby załatwiał podrzędniejszą korespondencyę, — do tej funkcyi Stach K. nadawałby się doskonale, Sądzimy tu, że filia redakcyjna powinna pobierać pewne wynagrodzenie za pracę, jak o tem już mówił Niklewicz.

A teraz o materyałach.

Zakrzewski poprostu mnie zdumiewa! Redaktor, który zamyka rocznik początkiem artykułu i chce go kończyć w innem piśmie jest pewnego rodzaju *curiosum*. Przecie logika kazałaby przesłać całość artykułu do „Przegl.", a dać choćby Rostafińskiego (zapewne przyrodniczy), który prawdopodobnie do „Przegl". nie będzie się kwalifikował.[7]) Muszę to uważać za zwykły kawał na który wziąć się mu nie dam. Jeżeli zakończenie Bujaka stanowi istotnie odrębną całość, o czem b. wątpię w takim razie dam go p o d i n n y m t y t u ł e m i w odpowiednim czasie, bez wzmianki, że jest jakimś dalszym ciągiem. Przecież nie mogę kompromitować się wobec dotychczasowych prenumeratorów „P. N." dając im dokończenie z innego pisma! Jeżeli się to nie da zrobić, nie będę wcale drukował, a Zakrz. niech się rozprawia z Bujakiem, któremu odetnie możność ogłoszenia dokończenia artykułu. Dając pod tytułem „Nr. I", chciał na mnie zwalić śmieszność swej dyspozycyi, uważam za właściwsze, żeby ją sam ponosił.

„Przegląd spraw pols." chcę rozbić na trzy dzielnice (nie „zabory" — cenzura tego wyrażenia nie znosi) z trzema podpisami: Sadz., twoim i Czechowskiego — łącznie nie więcej niż 12—16 kolumn. Trudność leży w tem, że Przeglądami normowałem ściśliwość numeru, tak iż czasem spadają do 6—7 kolumn każdy. Nie bierzcie mi więc za złe, gdy będę zmuszony nieraz robić skrócenia. Rękopisy na 7-go muszę już mieć w ręku.

Mój drogi, poproś Szelągowskiego, żeby w lepszym stanie przysyłał artykuły: są nieczytelne i niemożliwie pokreślone. Tracimy z korektorem p o k i l k a p e ł n y c h d n i czasu, żeby je doprowadzić do porządku. A przecież to jest praca nadetatowa dla nas, którą autor ponosić powinien.

Zrób koniecznie przez święta artykuł o powieści sensasyjnej — rzecz bardzo na czasie! Chciałbym ją mieć nawet do styczniowego zeszytu — może mi się uda go umieścić. Liczę na to![8])

Z Grab. i Pawl.[9]) umów się również — im prędzej przyślą — tem lepiej, gdyż wobec nowych warunków będę miał większą trudność z układem numerów, a do tego potrzebuję zapasowych materyałów.

Cieszę się na myśl, że wspólnie z Tobą będziemy mogli postawić pismo na porządnej stopie,

Ściskam Cię serdecznie

Z. BALICKI

Od Nr. 2 Roman obiecuje mi żywsze współpracownictwo.

Warszawa, Smolna 3.I.1909

V Mój drogi,

Dziękuję Ci serdecznie za artykuł i za obiecane w depeszy jego zakończenie. Jest b. dobry i podkreśli należycie ciągłość obu pism. Liczę na to, że druga połowa wyniesie tyleż kartek — lub nieco więcej — co pierwsza, razem arkusz druku. Numer nie jest jeszcze zapełniony, a początek wynoszący 7 str. dr. byłby kawałkiem dla „P. N." niemożliwym. Nie potrzebuję pisać, jak mi zależy na pośpiechu. Końcowy kawałek wsadziłem w połowie do przedmowy, ale antycypuje treść dalszą i nie bardzo pasuje. Czy nie lepiej go usunąć.

O ile sądzić mogę z tamtego listu, nie otrzymałeś mojej karty, w której wyjaśniam, dlaczego

---

[4]) Kośmiński działacz narodowy, emigrant, mieszkał wówczas we Lwowie. Zmarł przed paru laty.

[5]) Aleksander Czechowski, wybitny dziennikarz. Pochodził z Poznańskiego, pracował w Warszawie, a w r. 1906 przeniósł się do Lwowa. W „Słowie Polskim" był referentem polityki zagranicznej. Zachorował w r. 1911 na rostrój nerwowy, umarł przed samą wojną.

[6]) Prof. Adam Antoni Kryński warszawianin, zajmował w uniwersytecie lwowskim katedrę języka polskiego, w „Słowie Polskim" prowadził rubrykę błędów językowych.

[7]) Mowa o art. prof. Franc. Bujaka „Sprawa uprzemysłowienia Galicji". Zakrzewski umieścił pierwszą część tej rozprawy (30 stron druku) na początku ostatniego zeszytu, kiedy już wiadomo było, że dokończenia nie da.

[8]) Artykuł mój ukazał się w zesz. styczniowym „Przeglądu" p. t. „Powieść—kinomatograf".

[9]) Mowa o prof. Stanisławie Grabskim i J. Gw. Pawlikowskim.

Bujaka drukować nie mogę. Jest to nie druga część, która się zaczyna znacznie wcześniej, ale zakończenie czysto już specyalne, wynoszące nb. 13 stron, wobec 30 str. wydrukowanych w Ateneum. Nie mów, że Z nie winien. Gdyby nawet początek był już wydrukowany, to się daje koniec w drugiej części numeru, wyjaśniając czytelnikom w dopisku to rozkawałkowanie, przy numerze podwójnym niema to nawet w sobie nic rażącego. W żadnym razie nie zamyka się rocznika — cóż dopiero pisma — początkiem artykułu.

Jeżeli art. Rostafińskiego jest o kopcach pamiątkowych, to jaknajmocniej pragnałbym go mieć dla „Przegl.” Ale czemu nie przysyłają teki?! Przecie w naszym wspólnym interesie leży, żeby ten właśnie numer był jaknajlepszy. Czy Czechowski przyśle osobny artykuł, czy też tylko swoją część „Przeglądu spraw polskich”. Tę rubrykę musimy, z góry uregulować i zacząć ją należyeie prowadzić od 1-go numeru. Zapytuję więc w tym względzie: czy możecie zapewnić regularną dostawę części galicyjskiej i poznańskiej i czy przyślecle je do zeszytu styczniowego? [10]).

Artykułów Dr. Br. Pawłowskiego b. pożądamy — na luty, a więc na 15 stycznia.

Poezyi i wogóle beletrystyki nie mam zamiaru umieszczać, jest to dział odrębny, obsługiwany przez inne pisma, którego nie dałoby się należycie obstawić, przytem brak miejsca na pełniejsze nieco, niż sporadyczne jego traktowanie.

Mój drogi, z Posadzym[11]) Ty załatw interes, nie znam go zupełnie, nawet z pism, — zresztą jest to normalne zadanie filii redakcyjnej lwowskiej.

Art. Geniusza [12]) — o ile sądzić mogę (wszak to temat z etyki egipskiej?) mógłby się nadawać, jeżeli ma wartość sam w sobie.

Co do rozszerzenia działu informacyjno-bibliograficznego, to wogóle „Prz.” mało się nadaje jako pismo informacyjne w jakimkolwiek dziale. Wejście na drogę ankiet trzeba będzie rozważyć, chociaż to także rzecz raczej dziennikarska.

Oczekuję niecierpliwie zakończenia twej pracy oraz art. Czechowskiego

Ściskam Cię serdecznie

Z. B.

Takie były kłopoty Balickiego, zanim ustalił się stosunek do Lwowa.

Kłopoty te w świetle powyższych listów zamknięte były w ścianach redakcyjnych, były to — powie ktoś — zwykłe sprawy techniki wydawniczej, według mnie jednak zasługują na upamiętnienie jako przyczynek do mało znanej historii życia Balickiego, a powtóre jako materiał do dziejów doniosłego zwrotu w okresie odrodzenia Polski. Wskutek zmian politycznych, jakie się dokonały w strukturze politycznej Rosji, Warszawa wracała do swej roli sterniczej w politycznym ruchu narodowym. Kierownictwo to przestaje korzystać z gościny, jakiej jej udzielały Lwów i Kraków. Prasa wszechpolska wycofuje się z Galicji i probuje gruntować się w tej dzielnicy, która przez cały wiek XIX zrywała się do walki o zjednoczenie i wolność. „Przegląd Narodowy” był oczywiście tylko drobnym fragmentem tych przemian, ściśle związanych z nową orientacją i taktyką, wskazaną przez R. Dmowskiego w książce „Niemcy, Rosja i kwestia polska” (Lwów 1908).

Zaznacza się w listach Balickiego jeszcze jedna rzecz charakterystyczna. Mamy tu próbkę, jak trudno było wywołać w dzielnicy, pod panowaniem Austrii zostającej, reakcję na gotujące się w świecie polskim przemiany; takie się tam wytworzyło poczucie samostarczalności regionalnej.

(Dok. n.) Z. W.

[10]) Do zorganizowania tej rubryki w sposób przez Balickiego projektowany, nie doszło.

[11]) Ludwik Posadzy.

[12]) Mieczysław Geniusz z Port Saidu w Egipcie.

POETA LAUREATUS

ŁOBODOWSKI[1]) nie poszedł w kierunku peiperyzowania. Nie trzeba jego wierszy połykać, jak sondę stomatologiczną, ani posługiwać się do ich zrozumienia podręcznikiem psychiatrii. Ale fatalna atmosfera środowiska nie pozostała bez wpływu na jego postawę. Pracę tę pojął, jaką formę, a formę jako rzemiosło, gdzie wystarczy zachować pewne prawidła rytmu, malowniczości, dowcipu, określeń — i czerpać pełnymi garściami ze słownictwa. To też niema w tych utworach nic ze szczerości, z serdeczności, nic, coby zagadało do człowieka po ludzku, poprostu, (oprócz wiersza o ojcu), zachwyciło wizją i wzruszeniem, bodaj przeraziło potężną, żywotną koncepcją. Nic. Mamy natomiast zimny ogień retorycznego uniesienia.

Girlandy—nierzadko dobrego kwiecia liryczno-krasomówczego, chwiejące się miarowo w takcie monotonnego nieakcentowca. Łobodowski musi usunąć ze swej poezji ów zaduży ton sztywności, musi wynaleźć sekret prostoty poetyckiego zdania i stwarzania — przynajmniej pozorów, łudzących pozorów spontaniczności przeżycia. Dotychczas stwarzał raczej pozory spontaniczności formy, łatwego wierszowania. A ponadto ponosi go żywioł wyobraźni kojarzącej obrazy i wrażenia, podobnie, jak się to robi w marzeniach przedsennych, albo w drzemce. Najwidoczniej wprawia się w trans poetyckiego zamroczenia przy pomocy kołyszącego rytmu. Lubi krajobraz w innym oświetleniu, zatopiony w mroku, zamazany mgłą i dymami, smętny i skłębiony od wiatru. To odpowiada jego postawie raczej rozpoetyzowanego marzyciela, niż świadomego swych sił artysty, panującego — jasną myślą kompozycyjną — nad sobą i swym tworzywem.

[1]) Józef Łobodowski. „Rozmowa z ojczyzną”. Warszawa 1936. Nakł. księg. F. Hoesicka, str. 80.
Są to utwory zebrane z kilku lat. Nagromadziły się w nich najbardziej charakterystyczne dane dla dotychczasowej postawy J. Ł. Wydany w tym samym roku tom „Demonów nocy”, za który autor dostał nagrodę młodych P. A. L. wymaga osobnego omówienia, ale poza postępem formy literackiej nie przynosi zasadniczych zmian w postawie poety.

To odpowiada także jego motywom i nastrojom, powiedzmy nawet — jego charakterowi. Łobodowskiego — nie wchodząc w jego osobiste cechy i koleje—zrozumieć można na tle teorji Marksa i środowiska lewicy w Polsce.

Materializm „dziejowy" rozkłada boleśnie wszystkie wartości moralne, wytworzone przez cywilizację łacińską, w duszy europejskiej. Opór sumienia i kultury wywołuje stan zapalny duszy, doprowadza nieraz początkującego marksistę do wściekłości, do prozelickiej przesady, co wyraża się w cyniźmie, w brutalności towarzyskiej i moralnej.

Marksizm, nie bez wpływu zoologicznego materializmu żydów i całej ich duszy, niszczy w europejczyku wszelkie podstawy życiowe, podważa zaufanie do ludzi, wywołuje poczucie fatalizmu, zdeterminowania wszystkiego, poczucie, że jednostka jest bryłą zwierzęcej materii, osaczoną i ściganą przez społeczność podobnych zwierząt. W tym nastroju przeważa pesymizm, a towarzyszą mu uczucia zgryzoty, goryczy, zawiści i nienawiści. Cały kompleks zbuntowanego niewolnika. Jest także i bezsens życia. Pojawiają się myśli samobójcze.

Nihilizm Łobodowskiego jest wszechstronny i konsekwentny. Najbardziej wykolejeni i zgryzieni poeci, którzy przeklęli całą ludzkość, czuli w przyrodzie coś sympatycznego, szukali w niej z upodobaniem współczucia i pociechy. Ten nie. Jego przyroda raczej drażni, denerwuje, niepokoi, dręczy.

A nad miastem zmierzchy i mgły,
Parzy usta trujący płyn. (str. 17).

. . . .

Na ustach gorycz i mgła.
Mły popielaty zmierzch. (str. 18).

. . . .

...kłujące szpilki słońca jątrzą
się w każdym nerwie... (str. 68).

. . . .

Gęste powietrze parzy
usta witrjolejem. (str. 68).

. . . .

Znowu wieczorem usta parzył powietrza witriolej,
Znów kłuła wzrok nieświadoma znikomość rzeczy.
Miastem się toczą gwiazdy. (str. 72).

Łobodowski w samopoczuciu dzieli byt na „ja" i „świat". Podział byłby normalny, ale stosunek tego „ja" do świata jest patologicznie negatywny, opozycyjny, wrogi. Nic go z tym życiem pozaosobistem nie łączy, żadna więź, żadna sympatia. To też Łobodowski nieraz mówi o stosunku właśnie do całego świata i te wypowiedzi dobrze charakteryzują kompleks buntu, który młodego poetę, duchowo do cna przeżarł.

...wiemy jedno:
na naszych klęskach
znajdzie zgubę miażdżący nas świat. (str. 8).

. . . .

...spopielałe ogniem pożaru zatraciło się dzieciństwo nasze,
a pozostał ten groźny świat,
co znieważa nas i zabija. (str. 8).

. . . .

Idzie młodych gromada,
z których każdy złemu światu zaufał. (str. 12).

. . . .

...pojmiesz, kto na twem czole znamię kładzie,
świat zda ci się więzieniem, a ziemia pustynią. (str. 16).

. . . .

...ta ciemność
jest nie moja, nie twoja, nie nasza,
jak nie nasz jest gnijący świat
niewolników ciała i ducha. (str. 48).

. . . .

...nad tobą i nademną
zakołował nienawistny świat. (str. 62).

. . . .

Więc gdzież jest ta jasna dłoń,
co ulży ustom zza krat
i krwią nabiegłe źrenice oczyści,
bym mógł przed śmiercią
raz chociaż spojrzeć na świat
bez gniewu i bez nienawiści. (str. 63).

. . . .

...czarna rozpacz i gniew i nienawiść — —
i w krztuszącej się piersi
kołuje jak skarga
głośny jęk zabłąkanych żórawi. (str. 65).

Świat to chaos, w którym szamoce się poeta zabłąkany, bezsilny, zrozpaczony, jednego tylko pewien: swej klęski. Życie toczy się ponad nim i zmiażdży go. Ilustruje to poeta w ten sposób, że siebie widzi, jako trupa, leżącego bezwładnie, któremu kopyta przelatują po twarzy.

...leżę w mroku bezwładny i kopyta spiżowe
przelatują zabitemu po twarzy. (str. 69).

. . . .

Serca bezbronnej młodzi dacie na pastwę oszczepom,
czoła znaczone krwią, ręce — śmiertelne żniwo.
Jęczą w obłokach mewy, lecące w mrok na ślepo;
łamie się, jako kwiat dłoni znużonej przegub.
Piachy całunem śmiertelnym, śpiewają spienione grzywy
nam, zabłąkanym na brzegu. (str. 37).

. . . .

...może pojąłbyś moje szaleństwo i trwogę...
...czarna noc nas za sobą porywa...
Pod gwiazdami, wśród ciszy, co ręce rozbraja,
dokąd iść zmienionemu w pocisk? (str. 63).

. . . .

Bez przyjaciół, bez broni, w lepkiej glinie dróg
jakże iść naprzeciw błyskom miecza? —
Każdy z nas tyle wiedział, ile umiał i mógł,
że zwycięskie przemocy zaprzecza.
...krzyk bezsilny wykrzywionych ust,
nie poradzi, nie dokona, nie sprosta. (str. 65).

. . . .

Porzuconemu w jesiennej samotności
brakuje szerokich dróg i morza,
wąwozów i jedlin —
drzewa spopielił pożar,
daleki tętni pościg. (str. 70).

. . . .

I niema więcej zbawienia, niema więcej ratunku,
jest tylko ta noc, o bracia, ta noc, brzemienna rozpaczą,
jest tylko ścieżka daleka, którąś w młodości zaczął,
i dążysz z palcami na oczach bez światła i bez kierunku.
(str. 76).

Z poczucia osamotnienia i bezsilności ratuje człowieka religia i narodowa ojczyzna. Przymierze z Bogiem dodaje sił, zwłaszcza w Kościele katolickim, który uczy krzepić się łaską Boga. Nacjonalizm wzmacnia jednostkę, bo wiąże ją z siłami licznych pokoleń, wyrabia w niej poczucie porządku w budowie ludzkości, wreszcie wskazuje tej jednostce konkretne obowiązki społeczne. Łobodowski nie walczy z Bogiem, jak bohater w dramacie chrześcijańskim, jak człowiek, z dramatem chrześcijańskim w duszy. Nie. On wogóle nie ma sił do jakiejkolwiek walki, tyle, że się buntu-

je, jak dziecko. Ci, co walczyli, siły bojowe czerpali z miłości do tych, w imię których walczyli. Łobodowski nic i nikogo nie kocha. Bunt i nienawiść objęły go całego, od serca po najcieńszą tętnicę, od mózgu do ostatnich zakończeń nerwowych. Według niego Chrystus był tylko człowiekiem, a jedyną rzeczą, której nie trzeba się wstydzić, jest łobuzerski cynizm wobec Kościoła i Boga. Zresztą ten Bóg pojawił się tutaj chyba poto, aby wobec Imienia, tchnącego najwyższą wzniosłością, popisać się szczytem cynizmu.

Cały tom nosi tytuł: „Rozmowa z ojczyzną". Ale w drugiej grupie wierszy tego tomu czytamy znamienny podtytuł: „Rozmawiam z Rosją". Po przeczytaniu całości istotnie dochodzi się do wniosku, że Łobodowski ma dwie ojczyzny. Polska jest jego „jedyną, nienawistną ojczyzną". Bo już dla Francji ma cieplejsze słowa, oczywiście z powodu komuny paryskiej i obecnego socjalizmu. Właściwą zaś jego ojczyzną, do której tęskni, którą chciałby połączyć z Polską, jest Związek Sowieckich Republik. Marzy więc Łobodowski o rewolucji komunistycznaj w Polsce.

Ziemio, gorzka, jak sól, w cmentarzach brodząca po pas,
wkołysana sosnami
w bałtyckie, zbielałe urwisko —
ileż razy twój bunt
w glinie bruzd przywarował i zgasł,
by wybuchnąć znowu nad nami
konającą Komuną paryską. („Ojczyzna", str. 17).

. . . .

...towarzyszu Piłsudski,
w przeddzień polskiej rewolucji
krwią wasze imię wypisujemy na tarczach. (str. 19).

. . . .

...tłum się rozepchnął łokciami: rojny, huczący i ciepły,
wymierzył błyszczące lufy w zastygłą twarz Zbawiciela.
(str. 27).

. . . .

...i jednakowo żarliwie dorastającym dziewczynkom
układa ręce modlitwy człowiek rozpięty na krzyżu. (str. 27).

. . . .

...oddajemy pokłon braterski waszych trudów cierniowym [glorjom
argonauci nowi... („Do bolszewików", str. 29).

. . . .

...śmiech nas chwytał przed katedrą starą,
że kamienna i z miejsca nie może się ruszyć,
drwiło się w oczy marom,
przyczajonym w jej ciemnej głuszy. (str. 30).

. . . .

...liść kasztana pięciopalczasty
zdobi pierś piękniej, niż krzyże,
kiedy piosnka plugawa zaszumi nad miastem,
jest mi do Boga najbliżej.

To naprawdę w życiu jedyne,
czego się wstydzić nie trzeba —
ja nie oddałbym jednej pijackiej godziny
za wszystkie raje i nieba. (str. 31).

. . . .

I myślę o dniu w którym nad rzeką graniczną
twojej Republiki i mojej Rzeczypospolitej —
jednego mostu budowniczowie —
spotkamy się, być może... (str. 34).

. . . .

Białoczerwoną legendę jakże udźwignąć na barkach
i nie zapomnieć o krzyku, co się na uszach położył?
Oto wam w młodej pięści zwija się kastet anarcha
i myśl z ostrego mózgu spływa, jak farba po nożu. (str. 71)

Z bolszewizmu wpada Łobodowski w anarchizm, z anarchizmu—w cyniczne manifestowanie bestii ludzkiej. Popada w strach. Nieraz mówi, że go ścigają. Ucieczki szuka w przedpokoju śmierci, w narkozie. Własna pieśń go upaja i zatruwa. Ale to nie wystarcza. Przeto są jeszcze kobiety—i wódka. Kobietę pojmuje jako „dziewczynkę", a miłość, jako akt zoologiczny, a nawet gorzej, bo co innego być prawidłowym zwierzęciem, a co innego wstępować do tych szeregów na ochotnika. Co do tego rysu poety oszczędzimy czytelnikowi cytat.

Ale zaćmiewanie mózgu, paraliżowanie zmysłów chucią i narkozą nie zabija jeszcze słabości i strachu. To też coraz częściej pojawia się myśl o samobójstwie, o śmierci, która chyba zniszczy już wszystko.

..przez szyby wilgotne w ciemny ogród wyglądać się boję—
znowu w mroku wyrastasz,
kusicielko trumienna pokrywo. (str. 7).

. . . .

zakapie krew na kwiaty przypięte ręką kobiecą
i w ustach słomy gorący smak —
jak dobrze między kwiatami
upaść na wznak. (str. 10).

. . . .

...czarny cień za wami idzie,
czarny cień na krzywych palcach nas liczy —
w gardle dusi, w gęstwie już błyska:
z sinej nocy grozi tajemniczo. (str. 69).

. . . .

O, nie spowiadaj, umarły ojcze syna,
któremu życie żałobną na cmentarz jazdą. (str. 61).

. . . .

I niema na nas wyroku, niema na nas osądu.
coby wichurą się zwalił w tę przestrzeń pustą —
jest śmierć, wyciągająca rękę ku ustom,
jest śmierć,
sypiąca popiołem
na twarz konającym lądom. (str. 77).

Wynik ogólny: niezłe rzemiosło wersyfikacyjne, słaby zmysł artystycznego organizowania materiału, wyobraźnia zmanierowana, obracająca się dokoła nielicznych motywów, jak bunt, bezsilność, nienawiść do świata, strach, śmierć. Ideologia bolszewika i nihilisty, przeżyta konsekwentnie aż do kresów demoralizacji, do depresji samobójczej.

Tak wygląda laureat Polskiej Akademii Literatury.

TADEUSZ DWORAK

PŁOCK

Na górze tum,
Modli się tłum,
A dołem Wisła płynie.

Dziejowych dum
Wita mię szum,
Gdy wchodzę w tę świątynię.

Z beskidzkich hal,
Szara jak stal,
Płyń Wisło aż do morza.

Za tobą w dal,
Za pluskiem fal,
Płock wbija wzrok w przestworza.

Płock 1.VII.37. ARTUR CHOJECKI

NA WIDOWNI

Legenda geniuszu politycznego bez metryki narodowej.—Bajka o bierności charakteru polskiego.—Cierpliwość, lojalność, dobrowolność. — Jest na czym budować. — Dziesięcioletnia próba pracy bez narodu. — Dekompozycja i hasło konsolidacji.—Szukanie geniuszów wśród biurokracji. — Powróćmy do starych metod genialności.

BYŁOBY dobrze, gdyby publicyści polscy notowali na marginesie prac swoich spostrzeżenia co do charakteru narodu polskiego. Dziedzina psychologii Polaka i zbiorowości polskiej nie jest dotąd opracowana. Żali się na to ks. Baranowski w bardzo interesującej książce o tajemnicach psychiki polskiej. Autor ten spostrzeżenia swoje wiąże z odrębnościami rasowymi poszczególnych regionów, niepodobna jednak rezygnować z możliwości ujęcia prawd o charakterze polskim w jakieś wnioski ogólniejsze.

Publicysta, przypatrujący się z konieczności wydarzeniom na tle życia publicznego, dzięki zaś dziennikom i studiom powieściowym znający dobrze życie prywatne, posiada wiele sposobności oddawania się refleksjom. Wiele np., zwłaszcza teraz, mówi się o bierności natury polskiej. Jakiż to ciekawy temat: bierność! Bo zastanówmy się, czy „bierność” jako charakterystyka jest całą prawdą. Gdy ma to być w naszym pojęciu stan bezwładu, jakieś zero energii, to czyż pozwala się jeszcze analizować przez rozłożenie na głębsze pierwiastki? Bierność do spodu duszy byłaby beznadziejną martwotą. Ktoby ten epitet do swego narodu stosował w tym przeświadczeniu, to musiałby się powiesić, bo jakaż to zabawa w życie historyczne z takim partnerem?

Mnie się wydaje, że jest inaczej. Jeżeli poskrobiemy to wyobrażenie, to się pokaże wnet pod powierzchnią taka rzecz, jak cierpliwość. A to już jest coś, co połyskuje nadzieją. Znajdziemy tam potem dużą dozę ufności w łaskę Bożą, ufności, którą przepojone jest serce rolnika, współpracującego zawsze z siłami przyrody i Bogiem. Wiele jest składników w tym, co nazywamy biernością, ale jeśli chodzi o stronę społeczną zjawiska, spoczywa w tej bierności znaczna doza lojalności.

Jak trzeba rozumieć tę lojalność? Nie mam na myśli tego, co w tym wyrazie chce widzieć dyscyplina służbowa, uległość polityczna lub duch niewolnictwa. Jest to lojalność wobec narodu, płynąca z patriotyzmu. Patriotyzm zagrzewa do czynu, ale w pewnych sytuacjach onieśmiela, bo w nim jest dużo pokory, pochodzącej z poczucia ogromu odpowiedzialności za dobro narodu. Nie darmo zdyscyplinowaliśmy się w tym kierunku, kształcąc uczucia patriotyczne, jak żaden bodaj naród, na modłę uczuć religijnych.

Gdy przyszła upragniona niepodległość, pierwszym aktem naszej lojalności było zawierzyć troskę o dobro publiczne hierarchii odrodzonej państwowości. Modliliśmy się przecież o nią. W marzeniach naszego pielgrzymstwa (przypomnijmy czasy najbliższe realizacji państwa) górował motyw najszczytniejszego, idealistycznego optymizmu co do ludzi, którzy nadal prowadzić będą naród do potęgi i chwały. Każdy z nas czuł się małym wobec ogromu zadań, dawało się wybranym wielkie kredyty z tą ciągłą obawą, aby broń Boże nie przeszkadzać im w pełnieniu tych zadań. Jakże stąd blisko do wiary w pomazanie Boże!

Mówiąc to, mam na myśli tło najgłębsze stanów duchowych ogółu, bo właśnie o najogólniejszych rysach charakteru rozmawiamy. Powie ten i ów: jakto, a przecież ściągnęliśmy na siebie zarzut warcholstwa, prywaty, partyjnictwa. Tak wypadało mówić tym, którym potrzeba było naszego niewolnictwa. A ten pozorny stan bierności jest w istocie czemś przeciwnym niewolnictwu. Czekały w nim na apel i nieraz ujawniały się piękne dowody dobrowolności służenia sprawie pospólnej. Czemże zresztą było i jest owe kompromitowane „partyjnictwo”, jak nie chęcią zrzeszania się do pracy i walki w imię idei i odpowiedniego programu? Nikt z nas nie chce działać na swoją rękę, nie chce warcholić, ale każdy właśnie z poczucia lojalności chce przyczynić się w miarę sił w jakimś zorganizowanym szyku do pospolitego dobra. Zbiorową pracą łatwiej dobro publiczne wyrozumieć i jemu usłużyć. Ideowe organizowanie sił czynnych narodu było jedyną drogą do wyzwolenia lojalnego Polaka ze stanu bierności bezwładnej.

Nic łatwiejszego na razie, gdy się znalazło warunki po temu, jak wzgardzić dobrowolnością współpracy, zadowolić się ekwiwalentem finansowym z podatku i zastąpić żywioł moralny dobrowolności mechaniką. Ale — skoro mówimy o tym żywiole, szukając określenia jego charakteru, musimy stwierdzić, że taki obrót rzeczy pociągać musi fatalne dla stron obu skutki. Bo takie na dłuższy czas zahamowanie funkcyj życiowych wynaturza organizm moralny właśnie w tym naturalnym popędzie lojalności. Życie przecież nie ustaje, szuka dróg, wpada w stan schorzałości i wtedy dopiero może być mowa o bierności z bezwładu.

Wtedy o żywotności organizmu i jego tendencjach świadczyć będą już nie zjawiska dobrowolności i lojalności, lecz na próbę wzięty będzie pierwiastek cierpliwości. Wówczas misyjnego znaczenia nabierają przejawy temperamentu jednostek niecierpliwych. Znamienność tych objawów daje się poznać po tym, że są rozgrzeszane przez opinię powszechną. Kto w Polsce na tych znakach ostrzegawczych się nie pozna, kto nie zrozumie, jaką wagę ma w takich wypadkach rozgrzeszenie ze strony narodu tak lojalnego, ten już nigdy egzaminu dojrzałości politycznej nie zda.

— — — — — — — — — — — — —

Kwestia charakteru polskiego interesuje nas głównie ze względu na jego rolę w misji dziejotwórczej narodu. Stąd jeden krok do polityki. Wytwarza się schemat stosunku sił twórczych narodu do państwa jako kierowniczej i wykonawczej tych sił organizacji. Znany jest wszystkim zatór, który się w Polsce wytworzył z powodu zatargu o prymat we współdziałaniu tych dwu sił.

Odwieczny układ, tak typowy dla Polski, inspiracji politycznej „z dołu”, polegającej na wypowiadaniu się narodu w sejmach i samorządach, został zakwestionowany na rzecz autokratycznej inicjatywy „z góry”, inicjatywy, gwarantowanej genialnością osobistą jednostki z mocy samego faktu posiadania władzy. Ten nowy system po dziesięcioletniej praktyce okazał się niedogodny. Brak kontaktu z żywą siłą narodu znieruchomił społeczeństwo tak, że zaczęło się już o nim wąt-

pić, czy istnieje w jego bierności jakakolwiek dynamika, marazm bowiem począł pokrywać pleśnią zaniedbaną toń życia, a z drugiej strony dała się odczuwać czczość racji stanu, zredukowanej do racji biurokracji.

Zabrakło myśli. Ten smutny stan rzeczy nazwano urzędowo: po stronie „dołu"—brakiem konsolidacji narodowej, po stronie zaś góry — dekompozycją. Wiadomo, gdy myśli braknie, jedynym wyjściem staje się werbalizm, a gdy gadać, to już z łacińska, aby wyglądało mądrze.

Na brak konsolidacji wymyślono sposób. Wyznaczono zpośród biurokracji twórców myśli konsolidującej i to według „odcinków", (według stanów, regionów i nawet pokoleń). Powstały biura bogato upasażone i obsłużone, w których myśl twórcza podzielona na referaty, długo była kombinowana tak, aby mogła uchodzić za idącą „z dołu" a podana była „z góry".

Pełen zwykle podziwu dla każdego rządu i każdej improwizacji sanacyjnej „Czas" zwątpił o pożytku tej zabawy w genialność biurokratyczną:

„O.Z.N. dotychczas dzieła konsolidacji narodowej nie posunął naprzód. Nie zdołał nawet doprowadzić do uporządkowania stosunków wewnątrz dawnego obozu pomajowego [dekompozycja!]

— Nie ma jednym słowem dotychczas ani jednego obozu, ani jakiejś ich koalicji, która by mogła się pokusić o wzięcie i utrzymanie władzy w swoich rękach. Są one wszystkie na to za słabe. I dlatego rządy w Polsce muszą czerpać swą polityczną siłę z innych źródeł i dlatego tak potężnym czynnikiem stała się biurokracja. Z tej też przyczyny walka o władzę przestała być walką między obozami, a przerodziła się w walkę między jednostkami i klikami.

Są w Polsce ludzie, którzy się cieszą z objawów dekompozycji w obozie przeciwnika. Radość ta byłaby uzasadniona, gdyby dekompozycji u jednych towarzyszył wzrost siły u drugich. Gdy jednak dekompozycja jest powszechna, gdy jedynym jej skutkiem staje się dezorganizacja polityczna społeczeństwa, nie ma żadnego powodu do radości.

Nie ma w Polsce na to danych, by jeden obóz mógł zorganizować w swych szeregach znaczną większość obywateli. System monopartyjny, taki jaki istnieje w Niemczech lub we Włoszech, nie da się u nas urzeczywistnić. Jeśli chcemy współudziału społeczeństwa w rządach, a jest to możliwe tylko wówczas, gdy społeczeństwo jest politycznie zorganizowane, to musimy sobie życzyć, by dotychczas istniejące obozy wyszły ze stanu dekompozycji, względnie by ustąpiły miejsca obozom innym. Konsolidacja narodowa da się urzeczywistnić jedynie przez nawiązanie normalnej współpracy pomiędzy poszczególnymi obozami?"

Jednym słowem.... dekompozycja wiary w cudotwórczość sanacji. Nawet gdyby się nie wątpiło o genialności wyznaczonych techników politycznych to jednak wyczerpała się wiara w możliwość budowania domu od dachu. Poprostu prawo ciążenia do ziemi jest silniejsze od ich lotności. Należy zatem twórczość polityczną z powrotem „uziemnić" i z tamtąd z życia czerpać genialność. Zdaje się, że porządek w świecie twórczym jest taki, iż ludziom osobiście dane są tylko talenty, ale genialności dostępują jedynie ci, którzy w Anteuszowy sposób złączą duszę z ziemią swoją.

A wreszcie po co obciążać Bogu ducha winnych emerytów odpowiedzialnością za „konsolidowanie" narodu, kiedy, jak się zdaje — historia coś o tem mówi — dzieje wewnętrzne każdego narodu są niczym innym, jeno procesem konsolidowania. Ktoby temu procesowi chciał pomóc, nie zewnątrz narodu musi być, lecz w nim. Należy, krótko mówiąc, dać narodowi możność wypowiadania się w działalności publicznej, oddać politykę gospodarzowi, dziedzicowi dziejów. Nie ma potrzeby silić się na wynajdywanie genialnych improwizatorów polityki. Ludzie odpowiedni sami się znajdą i ci nie będą improwizowali, lecz będą wykonawcami misji historycznej; to będzie ich genialnością prawdziwą, bo uprzedmiotowioną, daleką od podmiotowej fantazji. Taka genialność uprzedmiotowiona ma tę wyższość nad improwizacją personalną sprytów politycznych, że jest zgodna z charakterem narodu, nie czeka objawów zniecierpliwienia lecz pociąga do współpracy naród za serca pełne dobrowolności służenia państwu.

ZYGMUNT WASILEWSKI

Z PRASY

LIBERAŁ NACJONALISTĄ

Antoni Słonimski pisujący recenzje teatralne w „Wiadomościach Literackich" tak oto mówi o sztuce Nowaczyńskiego „Cezar i człowiek":

„Nowaczyński z sympatią wyraża się o Semitach, czyniąc jednak drobne zastrzeżenie, że chodzi mu o „Semitów konnych", to znaczy pewnie o Arabów, którzy tyle zdziałali w dziedzinie matematyki i astronomii. W stosunku do „Semitów pieszych" autor nie deklaruje się wyraźnie, stwierdza jednak, że wszystkie nacje są sobie równe i że „nawet żydowie czasem się mylą". Stosunek autora do „Semitów pieszych" uległ widocznie zmianie, jeśli swą sztukę oddał Szyfmanowi, Węgierce i Węgierkowej. Nie omylili się żydowie, i Nowaczyński się nie omylił: teatr zrobił wszystko dla nowego utworu nowego Nowaczyńskiego".

Stosunek Słonimskiego do nacjonalizmu również uległ — aż nadto widocznie! — zmianie. Jeszcze mu się zdarzają takie bzdurki wypowiadane na temat „człowieczeństwa", jak w innym wyjątku wyżej wspomnianej recenzji: „Podniosła ideologia utworu, śmiałość i rzetelna bezinteresowność autora jest zdarzeniem, które potwierdza raz jeszcze prawdę o niemożliwości pogodzenia ideologii faszyzmu z najistotniejszą treścią sztuki, wiernej zawsze idei człowieczeństwa", ale pamiętajmy, że humanitaryzm i przeciwstawianie się faszyzmowi (oprócz tego w brązowych koszulach z upokarzającą odznaką świecznika ilu̇ramiennego, stanowiącego trofeum wyprawy Tytusa), należy do linii taktycznej polityki żydowskiej. Mimo wysiłku zdążającego w kierunku utrzymania się w pozycji czystego obiektywizmu, jeśli idzie o kwestię stosunku do poczucia narodowego, Słonimski nie może się oprzeć radości, że Nowaczyński stał się po raz nie wiadomo już który, nowym, a już duma narodowa rozpiera go najwidoczniej, gdy wspomina, jak to Szyfman, Węgierkowa i Węgierko starali się o wystawę dla „Cezara i człowieka" jak najbardziej okazałą.

Ów przejaw dumy narodowej jest u Słonimskiego zjawiskiem dość rzadkim, mało — nawet wyjątkowym; do tej pory narodowość felietonisty „Wiadomości" przejawiała się tylko w tym najdziwniejszym z dziwnych zlaniu się kompleksu niższości ze swoistego rodzaju melagomanią. Słonimski przyznać należy, zawsze żywo odczuwał krzywdę swojego narodu, czego dosadnym wyrazem były owe płaczliwe wzmianki o „Hitlerii"

powtarzane ciągle aż do znudzenia i pomniejszenia tymsymym atrakcyjności jego „Kroniki tygodniowej". Przy całym odczuciu jednak krzywdy własnego narodu, nigdy nie okazywał zeń dumy. Zdarzało się nawet, chasydów nazywał poprostu „rytualnym bydłem", co w jego ustach nabierało smaku wielce przykrego i wzbudzać musiało w każdym uczucie litości a raczej politowania.

Tryumf spowodu Szyfmana, Węgierkowej i Węgierki jest więc nową nutą świadczącą o dokonującej się wciąż i wciąż ewolucji, czemu możemy tylko przyklasnąć.

Nacjonalizm — okazuje się — jest jednak prądem mocnym...

TURSCY

Ostatni numer „Polityki" zawiera artykuł p. Adolfa Bocheńskiego p. t. „Z genealogii lewicy w Polsce, a w nim takie informacje:

„Wojciech Turski, zwany „sarmata" pierwszy rozpoczął działalność lewicy polskiej we Francji. On to wystąpił przed konwencją w r. 1793 z płomienną mową w sprawie polskiej. Był jednym z najwybitniejszych naszych jakobinów, między innymi wywarł ogromny wpływ na ukształtowanie się umysłowości Jasińskiego. Askenazy nazywa go: „postacią conajmniej dwuznaczną" i twierdzi, że swój ultra-czerwony radykalizm zużytkował w ten sposób, że wybrał 4,800 liwrów z tajnych funduszów francuskiego ministerstwa spraw zagranicznych i zużytkował na cele prywatne. Jednocześnie żądał wymordowania wyższych warstw polskich i znajdował się w serdecznych, acz dość podejrzanych stosunkach ze Szczęsnym Potockim. Napoleona wreszcie częstował memoriałami... filorosyjskimi.

Józef Turski, brat poprzedniego, uczestnik sądu kryminalnego, który skazał na śmierć Szymona Kossakowskiego i Szwykowskiego, zaliczał się również do najgłośniejszych polskich radykałów. On to w r. 1798 został przez Deputację wydelegowany do Rzymu celem odebrania władzy nad legionami „podejrzanemu" J. H. Dąbrowskiemu, którego Jakobini nazywali „nieprzyjacielem ojczyzny". Ale ten niedoszły pogromca „nieprzyjaciela ojczyzny", doskonałego Polaka, Dąbrowskiego, zaproponuje niedługo później w Petersburgu utworzenie legionów polskich na żołdzie rosyjskim. W okresie zaś księstwa warszawskiego zostanie kierownikiem rosyjskiej agencji w Białymstoku, mającej na celu szpiegowanie armii polskiej i księcia Józefa".

Artykuł p. Bocheńskiego ani słowem nie wspomina o tym, że ci panowie Turscy byli neofitami, frankistami. Szczegół to przecież dość chyba ważny i mówiący wiele.

I wogóle w artykule wyżej wspomnianym słowa „żyd" czy „masoneria" chociaż o czasach Hugona Kołłątaja przede wszystkim mowa a loże wówczas przecież odgrywały rolę niemałą — były modą, konwenansem, były... narzędziem. Tak, jak należy się przeciwstawiać kładzeniu każdego wydarzenia historycznego na karb „żydo-masonerii", tak też z drugiej strony nie można o niej milczeć, zwłaszcza, gdy się usiłuje dotrzeć do pnia genealogicznego współczesnej lewicy, co to — jak słusznie zauważa p. Bocheński — nagle przebrała się w togi patriotów, „obrońców polskiego morza" itd. Nagle, to znaczy od czasu rewolucji narodowo-socjalistycznej w Niemczech.

Cherchez le juif.

NAUKA i LITERATURA

POLSKI SŁOWNIK BIOGRAFICZNY

W INNYM kraju, gdzie społeczeństwo jest bardziej wrażliwe na zainteresowania natury umysłowej, taki wypadek, jaki zaszedł na dorocznym posiedzeniu Akademii Umiejętności, byłby najlepszą reklamą dla Polskiego Słownika Biograficznego. A przede wszystkim senatorowie, jak jeden mąż, pospieszyliby zaprenumerować to niezwykle ciekawe i cenne wydawnictwo. Tymczasem tylko jeden z panów senatorów rozesłał list do prasy, zawiadamiając, że od początku abonuje Słownik. Wszelako jeden a nawet kilku abonentów z pośród członków obu naszych Izb, to stanowczo za mało.

Ileż bowiem zajmującego i pouczającego materiału z pierwszej ręki znaleźć można w Słowniku! Każdy, co się zajmuje życiem publicznym, znajduje w nim coś stosownego dla siebie. W zeszytach 11/13, jakie ukazały się w roku bieżącym, mamy żywoty Brühlów, między innymi Henryka, ministra faworyta Augusta III, który bezwstydnie sprzedawał urzędy i fałszował polską monetę na Spiżu.

Dowiedzieć się też możemy ciekawych rzeczy o zasłużonej kupieckiej rodzinie Brunów i protoplaście tego rodu pochodzącym z niezamożnej rzemieślniczej rodziny niemieckiego pochodzenia, który pracą i energią dorobił się znacznego majątku i zdobył wybitne stanowisko wśród mieszczaństwa Warszawy, zakładając podwaliny firmy handlowo-przemysłowej do dziś istniejącej. Tyle się mówi obecnie o rzemiosłach i handlu polskim, warto więc zaglądać do Słownika Biograficznego, bo materiał w nim jest dla każdego i bardzo aktualny.

Akurat właśnie w zeszycie 13 czytamy oto życiorys Hipolita Cegielskiego, filologa, uczonego, autora obszernego dzieła „Nauka o poezji", który rzucił pole czystej wiedzy otwierającej bardzo ponętne przed nim horyzonty i ...poświęcił się przemysłowi, odradzając Wielkopolskę gospodarczo. Niezwykły to człowiek. Czego się tknął, wyciskał na tym piętno swej indywidualności. Założył zakłady przemysłowe, do dziś istniejące, powołał do życia wiele instytucji ekonomicznych i kulturalnych, w dobie największego ucisku germanizacyjnego rozniecał ducha patriotycznego i rozwijał kraj gospodarczo. Przed kilku miesiącami „Myśl Narodowa" zamieściła o nim większy artykuł. Słownik zaś podaje zwarty życiorys.

Czy tylko o nim?

Przecież to, co się w Słowniku Biograficznym czyta o Burattinim, starczyłoby na dobrą powieść.

Burattini (1617 — 1681) fizyk, wynalazca, architekt, geograf, egiptolog, dzierżawca mennic, agent dyplomatyczny — pochodził z ziemi włoskiej, a spędziwszy kilka lat w Egipcie, powrócił do Europy: przez Niemcy do Polski. W r. 1648 demonstrował w Warszawie swój model aeroplanu, którego rysunek został teraz niedawno odnaleziony. Jako nadworny architekt, kierował budową pałacu królewskiego na Krakowskiem Przedmieściu, prowadził przedsiębiorstwa górnicze, uruchomił na podstawie kontraktu z podskarbim w. kor. mennicę szelągową, czyli wprowadził inflancję w praktyce, a przypisują mu także i autorstwo projektu inflancyjnego; skarb Rzeczypospolitej zadłużył się u Burattiniego po uszy, a ostatecznie na tych szelągach czyli „boratynkach" skarb Rzeczypospolitej wyszedł całkiem dobrze, natomiast olbrzymie straty poniósł sam Burattini. Pretensje jego do Skarbu były olbrzymie, milionowe; sejmy jakoś je likwidowały, wypuszczając Burattiniemu w administrację mennicę srebrną. W czasie „potopu" jeździł on do Włoch dwukrotnie w misji dyplomatycznej, a „na odparcie najazdu szwedzkiego pożyczył skarbowi Rzeczypospolitej około 60 tys. zł. i sam, wraz z młodszym bratem Filipem na własny

koszt wziął udział w wojnie.“ Metrem posługujemy się dziś powszechnie, a zapewne mało kto wie, że nazwa pochodzi od Burattiniego, a co więcej, jest on autorem jednolitej dla całego świata „miary powszechnej“, dla mierzenia długości, powierzchni, objętości i wagi. A ten projekt był wynikiem rozmów, jakie Burattini miewał jeszcze przed rokiem 1645 w Krakowie z Pudłowskim. A w jaki sposób Pudłowski wpadł pierwszy na te pomysły, interesująco opisuje właśnie Słownik Biograficzny, z którego dorzucimy jeszcze parę ciekawostek o Burattinim, co wynalazł maszynę do rachowania, wymyślił mikrometr, ogrody swych znajomych zaopatrywał w wiatraki do czerpania wody, który to pomysł nasunął mu się prawdopodobnie w Egipcie; był mistrzem w szlifowaniu różnego rodzaju soczewek, autorem wielu wynalazków, miał niejeden proces a w ogóle był człowiekiem prawdziwie renesansowym. Wprawdzie nie Polak rodowity, ale większą część życia u nas spędził, dzielnie dla kraju pracował, otrzymał indygenat, ożenił się z Polką, zostawił dzieci. A co więcej, to w Słowniku Biograficznym.

A czyż nie ciekawa to osobistość taki Antoni Bukaty (1808 — 1876), literat, filozof, matematyk? Pochodził ze szlachty jutlanckiej, przyjaźnił się z młodym Zygmuntem Krasińskim, brał udział w powstaniu listopadowym, poszedł na emigrację, z Paryża wyjechał do Kanady, gdzie budował koleje żelazne, wrócił znów do Francji i opracowywał wynalazki techniczne i pomysły matematyczne. W memoriale dla ks. Czartoryskiego w r. 1841 przedstawiał zastosowanie lokomocji parowej na wojnie: parowóz uzbrojony działem lub dwoma działami, posuwający się po drodze bitej a nawet zwykłej, coś w rodzaju tanku czy samochodu pancernego.

Józef Stemler opisuje w Słowniku Biograficznym piękną postać Mieczysława Brzezińskiego, na parę lat przed wojną zmarłego przyrodnika, działacza społecznego i popularyzatora wiedzy. Był to rzeczywisty minister oświaty, którego niestrudzona działalność teoretyczna i praktyczna w Macierzy umożliwiła wychowanie szeregu pokoleń. Gdyby nieodżałowanej pamięci Brzeziński żył dzisiaj, umarłby ze zmartwienia, patrząc na to, co się dzieje na polu szkolnictwa w Polsce [1]).

Z Brzezińskim działał na polu oświaty ludowej lekarz Kazimierz Chełchowski, zmarły w r. 1917. Przy pomocy materialnej Chełchowskiego wydano paręset książek dla ludu, założono Księgarnię Polską, przekazaną potem Macierzy, nabyto pismo „Zorzę.“ Pod koniec ubiegłego stulecia, stanąwszy na czele wydziału higieny ludowej w Tow. Hig. Warsz. zaczął Chełchowski opracowywać zagadnienia, które w Polsce Niepodległej objęło przede wszystkim Ministerium Opieki Społecznej: opieka nad niemowlętami, epidemia ospy i szczepienia ochronne, żłobki i ochronki dla dzieci, kąpiele, natryski i łaźnie wiejskie, fabryczne, kolejowe, organizacja ogólnej pomocy lekarskiej na wsi, pomoc położnicza, żywienie ludu i jego odzież, budowa chat i ich higiena, domy i gospody ludowe, opieka nad pątnikami, domy przedpogrzebowe it.p. Dzięki przychylnemu stanowisku Chełchowskiego, Tow. Hig. udzieliło niejednej pomocy poczynaniom ks. Blizińskiego w Liskowie.

Długa i żmudna była, jak widzimy, droga do Polski Niepodległej, która zmartwychwstawała nietylko w kurzawie bitew, ale i w ciężkim, znojnym codziennym trudzie szarych pracownikó na niwie społecznej i narodowej, pracujących dla celu idealnego, piastowanego w marzeniach...

Oto inny Chełchowski, Stanisław, zmarły w r. 1907 rolnik i działacz społeczny, „inicjował towarzystwa rolnicze, a w zakupionym przez siebie folwarku Miłoszewiec założył jedną z pierwszych stacji doświadczalnych w kraju. W roku 1900 wybrany na prezesa sekcji rolnej, przekształcił ją gruntownie, tworząc specjalne oddziały gospodarki włościańskiej, gospodyń wiejskich, kooperacji rolnych, organizował przy tym związki nasienne, konkursy gospodarstw włościańskich, pokazy hodowlane i wystawy powiatowe.” A była to służba dla kraju pod zaborem, bez oglądania się na to, że otrzyma się jakieś odznaczenie, order czy inną jaką remunerację...

Była to praca bezinteresowna.

Jakiż ten Polski Słownik Biograficzny jest przy tym aktualny! Obecnie, kiedy masonów jest w Polsce prawdziwe zatrzęsienie, nie zawsze tylko wiadomo na pewno, kto z podejrzanych jest wolnomularz. Słownik i tu wyjaśnia niejedno. Zajrzawszy do zeszytu 13 czytamy w artykule, pięknie skreślonym przez biskupa Michała Godlewskiego, niezmiernie ciekawe wyjaśnienie, dotyczące ks. Zygmunta Chełmickiego, który był wybitnym mówcą, literatem, publicystą, działaczem społeczno-politycznym, a podczas okupacji niemieckiej sekretarzem Regencji. Otóż ks. biskup Godlewski przypomina, że „gdy w r. 1921 pewien publicysta wystąpił z zarzutem, że Chełmicki należał do masonerii, grono biskupów oraz głośnych pisarzów i działaczy duchownych na łamach „Wiadomości Archidecezjalnych“ z oburzeniem oszczerczy zarzut odparło.

Albo jaki to ciekawy żywot doktora Chałubińskiego, prawdziwie genialnego lekarza, niepospolitego człowieka! Tego niespożytego człowieka zmogła — miłość. A kto ciekaw jest jak się to stało niech zajrzy do Słownika.

Zresztą każdy zeszyt Polskiego Słownika Biograficznego, wydawanego za bezcen przez Polską Akademię Umiejętności, jest tak pasjonującą lekturą, że oderwać się od niej nie można. Mówię to nie tylko z własnego doświadczenia, słyszałem od ludzi różnych zawodów, a nawet kobiet, że lektura Słownika więcej ich zajmuje niż niejedna powieść. Słownik bojkotują tylko żydzi. Zjawisko bardzo charakterystyczne, aczkolwiek w dotychczasowych zeszytach znajdujemy żywoty i żydów, którzy jakąś rolę w Polsce odegrali. Podobno w dalszych zeszytach Słownika jeszcze nie jeden ciekawy konterfekt żydowski będzie odmalowany.

W. T.

[1]) Kto się interesuje postacią Mieczysława Brzezińskiego, to może jeszcze przeczytać o nim bardzo ciekawą książeczkę napisaną przez Adama Chętnika, a wydaną przez „Księgarnię Polską“ w Warszawie.

„ANI CHLEBA ANI WOLNOŚCI”

KSIĄŻKA francuskiego autora Henri Guilbeaux *„La fin des soviets”* (Paryż 1937, E. Malfère) nietylko przynosi wiele zupełnie nieznanych szczegółów z życia legendarnych już władców Rosji ale, co ważniejsze, przełamuje zakorzeniony na Zachodzie, przestrzegany przez „dobrych demokratów” obyczaj uznawania za ostatni wyraz postępu i kultury społecznej tego, co przez zorganizowaną akcję prasową Sowiety usiłują narzucić Europie.

Autor idzie dalej i stara się zdemaskować wielu wybitnych pisarzy francuskich komunizujących w prasie i publikacjach książkowych, wykazując bądź ich związki z ambasadą Z. S. S. R. w Paryżu, zależności natury osobistej, nierzadko poprzez znajome i przyjaciółki, pozostające na żołdzie. W tem świetle nie najlepiej prezentują się ludzie o głośnych nawet bardzo nazwiskach od strony tak charakterystycznej dla poetów naiwności życiowej lub spotykanej zwłaszcza w zawodzie dziennikarskim ignorancji i braku skrupułów.

Na przykładzie p. Guilbeaux można zauważyć zmianę nastrojów w kulturalnej opinii francuskiej wobec zjawiska bolszewizmu. Jeszcze stosunkowo niedawno nadawali ton w tym względzie R. Rolland, A. Gide, Barbusse i inni terroryzując oponentów — dziś czasy się zmieniły: nie kto inny, tylko sam wielki R. Rolland zostaje na kartach niniejszej książki doszczętnie przenicowany, tak, że nie wiele się z jego republikańskiej cnoty w całości pozostaje. Nietylko on ale i inni przyjaciele i sojusznicy wojującego komunizmu zostali zaatakowani tutaj z całą pasją i bez pardonu.

Taki p. Henri Barbusse do końca życia w wyniku swego nieuleczalnego nieuctwa mało co wiedział o komuniźmie i własnych panach, którym tak wiernie w „*L'Humanité*" służył.

Nie znając rosyjskiego ani tymbardziej gruzińskiego, pisze książkę o Gruzji. O międzynarodowym ruchu rewolucyjnym nie wie wogóle nic. Skomplikowana historia partii bolszewickiej jest mu najzupełniej obca, mimo to pisze (podpisuje) rzecz o „genialnym" Stalinie. Naturalnie pisze ktoś z *Gepeu*—jak mówią w Moskwie, dostarczono mu „materiałów", jego rzeczą było je tylko „wystylizować".

Dla celów propagandy każą mu napisać broszurę p. t. „Kim jest Thaelmann?" Barbusse nie wie więcej niż sklepikarz z rogu o tem, kim jest Thaelmann.—Pisze jednak.

Thaelman to zresztą taki sam sługa Kominternu jak Barbusse, równie bez wykształcenia, awantarnik i demagog wiecowy, w życiu osobistem pijanica parokrotnie z partii wydalany.

— Nic dziwnego, przecież był Hamburczykiem—stwierdza kostycznie p. Guilbeaux, poczem dla pełnej charakterystyki opowiada następujący epizod: Thaelman uczył się zawsze przed „występem" przemówień z dostarczonych tekstów, bywało, niezawsze z pomyślnym rezultatem. Raz, mówiąc o polityce lokarneńskiej, wyraził się: „*L'Angletterre et ses dominos*" — zamiast „*dominions*", myląc dominia z dominem.

Przewodniczącym niemieckiej partii komunistycznej został bez wiedzy Z.S.S.R., które też zezwoliło na jego uwięzienie i kreowało go męczennikiem partji, ażeby potym móc stale wołać: „uwolnijcie Thaelmanna!"

— Moskwa niczem nie gardzi, nawet trupami—powiada autor, więc też np. śmierć Barbusse'a posłużyła do urządzenia wielkiej manifestacji, jaką się stała eksportacja jego zwłok z Rosji do Paryża i pogrzeb na miejscu.

W IV rozdziale: „Ani chleba ani wolności dla robotnika", zapytuje Guilbeaux, czy robotnicy francuscy, krzyczący aż do ochrypnięcia „Sowiety wszędzie", wiedzą chociaż w przybliżeniu jak to wygląda? Czy oni, protestujący przeciw „sztucznym wyborom w Italii lub Niemczech, słyszeli, co to są listy „proponowane"? I dalej stwierdza, że wrogowie Z. S. S. R. o wiele lepiej znają prawdę o nim i są lepiej poinformowani, niż jego przyjaciele, robotnicy z różnych krajów".

A. Ciligi b. członek biura politycznego jugosłowiańskiej partii komunistycznej, na którego autor książki kilkakrotnie się powołuje, tak opisuje obozy koncentracyjne w Bolszewii: „Nasi faraonowie tam wychowują setki tysięcy robotników i chłopów i dziesiątki tysięcy kryminalistów, otrzymując wzamian bezpłatną pracę. Włościanki i kryminalistki, jakie się tam znajdują, są skazane na „obsługiwanie" mężczyzn i przymusową prostytucję".

Liczba tych „izolowanych" jest tak wielka, że w jednym tylko obozie koncentracyjnym, którego uczestnicy budowali kanał od Morza Białego do Bałtyku, 12,484 osób zostało zwolnionych za nienaganne sprawowanie, 59,516-tu zmniejszono karę. Skoro 75,000 mogło się wyróżnić, masa musiała dosięgać conajmniej 300,000 osób pisze „nawrócony" komunista francuski, robotnik Yvon.

Arcyciekawa publikacja p. Guilbeaux ma wagę dokumentu, ze względu na dobre informacje autora, przyjaciela samego Lenina, b. członka III-ej Międzynarodówki komunistycznej, rozczarowanego znacznie po 20-tu latach pobytu w Moskwie.

Pisana z werwą polemiczną i sporą kulturą publicystyczną oraz koniecznym obiektywizmem. ST. J.

RUCH WYDAWNICZY

„Marchołt", kwartalnik pod redakcją prof. Stefana Kołaczkowskiego, w zeszycie za lipiec zawiera z ważniejszych prac studium etnologiczne Bron. Malinowskiego „Śmiertelny problemat" (zagadnienie wojny w dziejach ludzkości), Zofii Szmydtowej studium literackie „Problemy poetyki Arystotelesa, J. Spytkowskiego „Jedno z nieporozumień" (co do poglądów Brzozowskiego na sztukę), A. Mikułowskiego „Zagad. filmu", St. Kołaczkowskiego „My pierwsza brygada i kwartet", Artura Górskiego „Potrzeba równowagi".

*

W dwumiesięczniku „Sprawy Narodowościowe" poświęconym badaniu stosunków w grupach etnicznych Polski, a wydawanych przez specjalny rządowy Instytut tych badań (Warszawa) gromadzą się ważne materiały statystyczne i ich opracowania. W ostatnim zeszycie (nr. 1—2 z r. 1937, rok XI) znajdujemy studium Wład. Tomkiewicza „Unia Hadziacka", Samuela Chmielewskiego „Stan szkolnictwa wśród żydów w Polsce", Bogdana Zahorskiego „Liczba i rozmieszczenie mieszkańców Polski według języków i wyznań". Poza tym bogaty dział materiałów, sprawozdań i bibliografij. Zeszyt obejmuje 208 stron. Cena 5 zł.

*

Antoni Kawczyński. „Dannemora". Powieść. Poznań 1937. S. Dippel.

Natchnieniem tej powieści jest wybrzeże i Gdynia— port i miasto, bliższe coraz zachodnich wzorów giełdy i targowiska czci ludzkiej i pieniądza.

Coś widocznie okrzepło w naszej wyobraźni zbiorowej, skoro, nadążając za rzeczywistym wzrostem, przestaliśmy wzruszać się, w tym stopniu co dawniej, sosenką z wydm, kaszubską „checzą" i siecią schnącą na wietrze, a zapragnęliśmy wzruszać się stalowym biciem młota na Helu, w Gdyni, w Wielkiej Wsi czy w Pucku i wzdłuż całego wybrzeża...

Z tych nastrojów rodzą się takie oto powieści o nikłym artystycznie wątku erotycznym, mocnym za to oddechu pracy i trudu u „wielkiej bramy" — żywe świadectwo zagospodarowania się narodu nad Bałtykiem.

Autor plastycznie ukazał rozgardiasz i tempo portowego miasta, zbiorowiska przeróżnych narodowości, terenu nierzadko nieuczciwych kombinacyj handlowych, oraz szczególnie udział w tem żydów, chętnie łowiących ryby w mętnej wodzie.

Rzecz pisana zajmująco i ze wzruszeniem w obliczu mokrego, rozedrganego falą żywiołu. (ST. J.)

KŁAMSTWA ŻYDOWSKIE O PRZESZŁOŚCI POLSKI

W SPISIE lektury zaleconej przez Ministerstwo W. R. i O. P. do użytku w szkołach znalazła się niewytłumaczonym i dziwnym trafem broszurka M. Taubera i J. Wajngartena p. t. „Żydzi", wydana nakładem Państwowego Wydawnictwa Książek Szkolnych we Lwowie.

O książeczce tej pisał już na tym miejscu przed trzema laty, o ile nas pamięć nie myli, p. Felicjan Lach, zwracając uwagę na zawarty tam tendencyjny i z prawdą niezgodny opis chederów żydowskich, będący naiwną i do śmieszności przesadną reklamą tych potwornych i ogłupiających instytutów „naukowych".

Ale na panegirykach ku czci okopów żydowskiego barbarzyństwa i ciemnoty nie wyczerpuje się treść broszurki panów Wajngartena i Taubera. Spotyka się tu jeszcze różne inne relacje, kłócące się z prawdą, a preparowane wprost niedołężnie i niedorzecznie.

Tyczy się to przede wszystkim opowiadania, jak to rzekomo żydzi przybyli do Polski. Opowiadanie jest tak charakterystyczne i tak bezczelne, że warto przytoczyć je w całości:

„Było to bardzo dawno temu. Tysiąc lat od owego czasu minęło. Polacy byli wtedy poganami i nie wiedzieli jeszcze nic o Bogu.

Żydom było wówczas bardzo źle na świecie. Wybrali więc najmądrzejszych spośród siebie i posłali ich do księcia polskiego Leszka, syna Ziemowita, by ten (—(Ziemowit?)—) zlitował się nad nieszczęśliwymi i pozwolił im zamieszkać w Polsce.

Po krótkim namyśle książę Leszek zadał poselstwu takie pytanie:

— Jaką religię wyznajecie?

— Wierzymy w niewidzialnego Boga, który wszystko stworzył.

Jeżeli kto myśli inaczej od was, czy uważacie go za człowieka?

— Każdy, kto myśli i mówi, jest człowiekiem, i za człowieka powinien być uważany.

— A jak postępowaliście z obcymi, co w dawnej ojczyźnie waszej—w Palestynie—osiąść chcieli?

— Obchodziliśmy się dobrze, bo w naszych świętych księgach pisane jest: „Przychodniowi nie uczynisz krzywdy".

Wszystko to księciu Leszkowi bardzo się podobało. Powiedział, że się namyśli i po trzech dniach da im odpowiedź.

Na trzeci dzień posłowie żydowscy stanęli przed tronem, a książę Leszek powiedział im, że żydzi mu się podobali i rad ich w swoim państwie widzieć.

Posłowie podziękowali za gościnę.

Wkrótce dużo żydów zaczęło przybywać do Polski".

Taką to brednią o przybyciu żydów do Polski wysmażyli sobie i ludziom naiwnym do wierzenia podają panowie: dr. Wajngarten i dr. Tauber. Nie wiemy, jaki to profesor historii polskiej i w jakim uniwersytecie ich tego nauczył. W każdym razie stwierdzamy, że nie jest to ani pierwsze ani ostatnie kłamstwo żydowskie na temat pierwotnych dziejów Polski. Czytało się swojego czasu podobną bajkę o arendarzu żydowskim Abrahamie Prochowniku (zapewne krewnym słynnego Jojnego Pistoleta, który prochu nie wąchał ani nie wymyślił, bo bał się, że może wystrzelić), o owym „wielkim" Abrachamie Prochowniku, co tegoż „księcia polskiego Leszka" wyprowadził w pole podczas wyścigów i „faktycznie" został królem polskim", tylko że mu ówczesne endeki-antysemitniki nie pozwoliły królować. Inne jeszcze podobne elukubracje lęgną się nieraz w głowach żydowskich, gdzie przeraźliwy brak zmysłu historycznego łączy się z naiwnym tupetem. Ot, przecie i w broszurze dr Wajngartena i dr. Taubera czytamy, że za króla Kazimierza Wielkiego żydzi „zaopatrywali chłopów w ubrania, obuwie, cukier (—(!!!)—), naftę (—(!!!!)—), narzędzia rolnicze", dobrze jeszcze że nie w maszyny Singera, kakao Van Houttena i odbiorniki radiowe.

Nie myślimy cytować samochwalczych opowiastek o tym, jak to Żydzi przyczynili się do świetnego rozwoju miast polskich"; kto się przyjrzał zarówno historii tych miast, jak też ich stanowi dzisiejszemu, ten wie, że tylko te miasta rozwijały się u nas świetnie — gdzie Żydów nie było wcale, albo było bardzo mało.

Ale chodzi nam o sprawę poruszoną poprzednio — o przybycie Żydów do Polski. W świetle historycznych źródeł, w świetle badań poważnych historyków sprawa ta przedstawia się inaczej niż w świetle broszury dr. Waingartena i dr. Taubera.

Źródła te nie są bynajmniej niedostępne. Jedną z nich słynną relację Ibn Jakuba, ogłosił nawet w popularnej, pięknie napisanej książce dr. Mieczysław Smolarski (książka ta, na materiałach źródłowych oparta a mająca wielkie zalety dydaktyczne, powinna znaleźć się w każdej bibliotece szkolnej). Inne źródła są w „*Monumenta Poloniae*", wydawanych przez Bietowskiego, w „*Monumenta Germaniae*", i t. d. a były też omawiane często przez wybitnych historyków, jak Lelewel, W. Kętrzyński, T. Wojciechowski, K. Potkański, Stanisław Smolka i inni.

W świetle tych źródeł i badań przybycie Żydów do Polski oraz ich rola w naszych pierwotnych dziejach rysuje się jasno. Żydzi przybywali do nas najpierw jako handlarzeniewolnikami, wywożący masowo chłopów polskich jako żywy towar na targowisko arabskie i bizantyńskie. Proceder ten uprawiali przez długie wieki, a i dziś jeszcze go nie zaniechali (Argentyna), o czym niedawno pisało nawet pismo tak niepodejrzane o „antysemityzm", jak „Kurier Poranny".

Warto tę rolę Żydów pamiętać, gdy się słyszy ich szumne frazesy o obronie interesów proletariatu i t. p. — Żydzi nie tylko nie byli nigdy u nas obrońcami proletariatu, ale naodwrót: od pierwszych chwil swego pobytu w Polsce byli najgorszymi ciemiężcami polskiego ludu, którym handlowali jak bydłem i który wyzyskiwali w sposób okrutny.

Nie dość na tym. Nie kto inny, ale właśnie Żydzi narzucili chłopom naszym najobelżywsze przezwisko: chamów. Jak wiadomo, przezwisko to pochodzi z tradycji żydowskiej, która głosi, że potomkowie Chama mają być sługami Żydów, jako potomków Sema. Otóż aluzję do tej tradycji znajdujemy nietylko w niedawnych sejmowych odezwaniach się posła Sommersteina, który Polaków głośno przezywał „chamami", ale też w wielu dawniejszych wypowiedziach żydowskich, i to dodać należy, od najwcześniejszych lat historycznej Polski. W listach, jakie w owych latach pisali różni Żydzi, opisujący ziemie słowiańskie, mamy wyraźne wzmianki, że ziemie te zamieszkałe są przez synów Chanaanatów czyli potomków Chama... Wielkie stąd korzyści obiecują sobie i swemu ludowi autorowie owych listów.

Po bliższe o tym wiadomości odsyłam do znakomitej książki Joachima Lelewela „Narody na Ziemiach Słowiańskich". Książka ta, po raz ostatni wydana przed laty kilkudziesięciu w Poznaniu, jest dziś niestety wyczerpana. Wartoby ją wznowić — wraz z innymi dziełami największego z polskich historyków, którego dziś w szkołach średnich niemal się nie wspomina, a tym mniej nie czyta. A przecież dzieła Lelewela chyba prędzej zasłużyły na obowiązkowe wprowadzenie do szkół, niż broszury panów Waingartenów i Tauberów.

Tak jest! *Discite historiam*! — wołał słusznie nasz genialny poeta Krasiński, dziś również całkowicie wyrugowany ze szkoły polskiej... Uczmy się historii! Ale historii prawdziwej, niezaciemnianej już u podstaw tendencyjnymi kłamstwami!

Dlatego mamy prawo domagać się by kłamliwą broszurę dr. Taubera i dr. Waingartena usunięto z bibliotek szkół polskich! Jeśli zaś koniecznie do jakich bibiotek popuszczać ją należy, to obowiązywać tu chyba winien *numerus clausus:* niechże ta broszura godny siebie przytułek znajdzie w tych straszliwych ostępach zacofania i ciemnoty, jakimi są tak gloryfikowanę przez pp. Taubera i Waingartena — chedery rabina Mendla... i innych Mendlów.

Z. B.

NA MARGINESIE

W Sejmie zainterpelowano rząd, dla czego min. rolnictwa pozwala na urządzanie w swych biurach zebrań masonerii. Jak donoszą dzienniki, ofiarą tego zainteresowania padł p. St. Stępowski, bibliotekarz ministerstwa.

— Jakie szczęście—powiadają masoni—że dymisja nie nastąpiła wcześniej. Byłaby się nie ukazała broszura pani Marii Dąbrowskiej „Rozdroże", która taką przysługę oddała tak popieranej polityce żydowskiej. Kobiecą rączką cios ten zadać ziemianom można było tylko przy pomocy biblioteki...

Ileż przy tem sławy przybyło powieściopisarce, że ma taki męski i postępowy pogląd na sprawy agrarne i taką wiedzę! A to wszystko zyskała dzięki owej mitycznej „bibliotece". Dąbrowska przechodzi do nieśmiertelności, a p. Stępowski — na „rozdrożu"...

*

Pewien legendarny, szturmowy „radosny twórca" cieszy się sławą rekordowej postępowości.

— Na czym że polega jego postęp?

— Sam przecież codzień czyni przyjaciołom takie wyznanie: „Nigdy jeszcze nie byłem tak pijany jak wczoraj". Pije więc dalej przez samą ciekawość, co też powie jutro. I tak codzień.

Adres Redakcji: Mokotowska 11 m. 5. Tel. 9. 25-46. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17. Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. **9,** półrocznie zł. **17,** rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. **12,** półroczn. zł. **24,** rocznie zł. **45.**
Konto czekowe na P. K. O. **3.105.**

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI.

Druk. SPOŁECZNA. Pl. Grzybowski 3/5. Tel. 205.80 PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.